płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15.VIII.1989 | 15

Fot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Zdzisław Byczek

— Tę maszynę także skonstruowałem ja, służy mi do temperowania mojego ołówka. Jest doskonała!

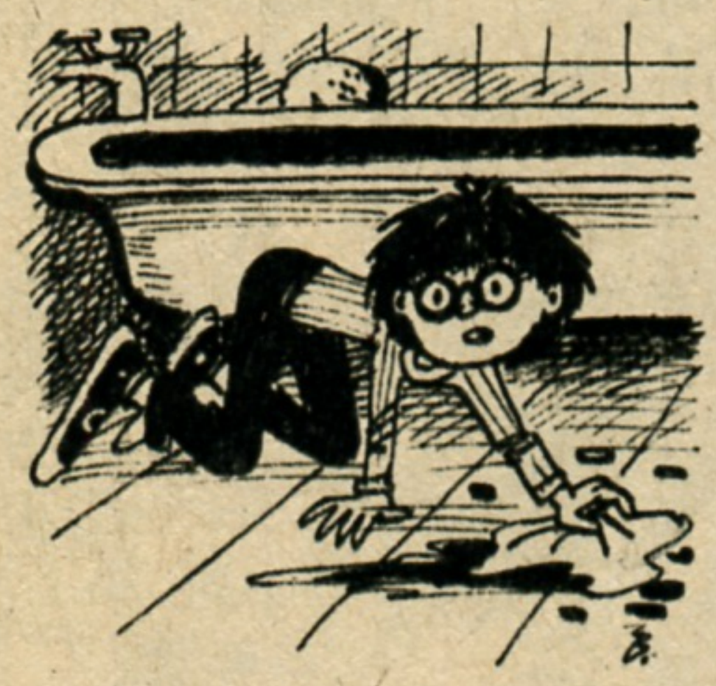

— Ciekawe, czy Archimedesowi mama także kazała wycierać łazienkę.

— Jestem przekonany, że czajnik został wymyślony przez maszynistę lokomotywy parowej.

A TO CIEKAWE!

JEDEN metr kwadratowy trawnika dostarcza tyle tlenu, ile człowiek potrzebuje do oddychania w ciągu jednego dnia.

Szanujmy więc zieleń miejską!

●

W DORZECZACH i w zbiornikach rzeki Wolty w Afryce żyją krokodyle znacznie mniejsze od krokodyli z rzek — Nil i Kongo. Osiągają one długość 170—180 cm. Krokodyle spotykane w jeziorze Sabu są od wieków pod ochroną okolicznej ludności, która nawet składa im tradycyjne ofiary w postaci kurcząt, którymi je po prostu dokarmia. A w czasie straszliwej suszy na początku lat siedemdziesiątych, kiedy jezioro niemal całkowicie wyschło, okoliczni wieśniacy dowozili wodę dla krokodyli w cysternach. Dzięki temu większość tamtejszych gadów przeżyła. Zwierzęta te są niemal oswojone i reagują na wołanie.

●

NIEBEZPIECZEŃSTWO, jakie grozi przyrodzie ze strony ludzi, dostrzegano od dawna. Najstarszy dokument, biorący pod ochronę przyrodę, wydano w Chinach w 1122 roku p.n.e., a więc 3 tys. lat temu. Dotyczył on ochrony lasów.

PIERWSZY basen pływacki dla dzieci niewidomych zbudowano w 1980 r. w Japonii. Ma on wymiary 15×10 m. Na końcu każdego toru znajduje się urządzenie wydające sygnały dźwiękowe, które określają właściwy kierunek i sygnalizują zbliżanie się pływaka do mety.

●

DRZEWA rosną wyłącznie w nocy. Jak wynika z licznych i niezwykle dokładnych pomiarów, 90 procent przyrostu drzewa w ciągu doby przypada na czas zupełnej ciemności, a pozostałe 10 procent na wieczór. Dzień jest dla drzewa czasem pełnego odpoczynku.

●

CO ROKU na świecie powstaje 4 tysięce filmów fabularnych. Najwięcej, bo prawie 700, produkują Indie. Następna na liście producentów filmów jest Japonia (około 340 filmów), potem Stany Zjednoczone, które podobnie jak Francja i Taiwan, produkują po 190 filmów rocznie. Następnie — Turcja (160), Filipiny (156) i Hongkong (124). Kinematografia radziecka produkuje rocznie 148 filmów, a włoska 139.

W Polsce powstaje rocznie 35 filmów.

Nasza okładka:

Zaraz wyschnę

SKACZĄCE LATO

Chłopcy skaczą do wody,
jabłka z drzewa na ziemię,
piłki skaczą po plaży,
a po wodzie kamienie.

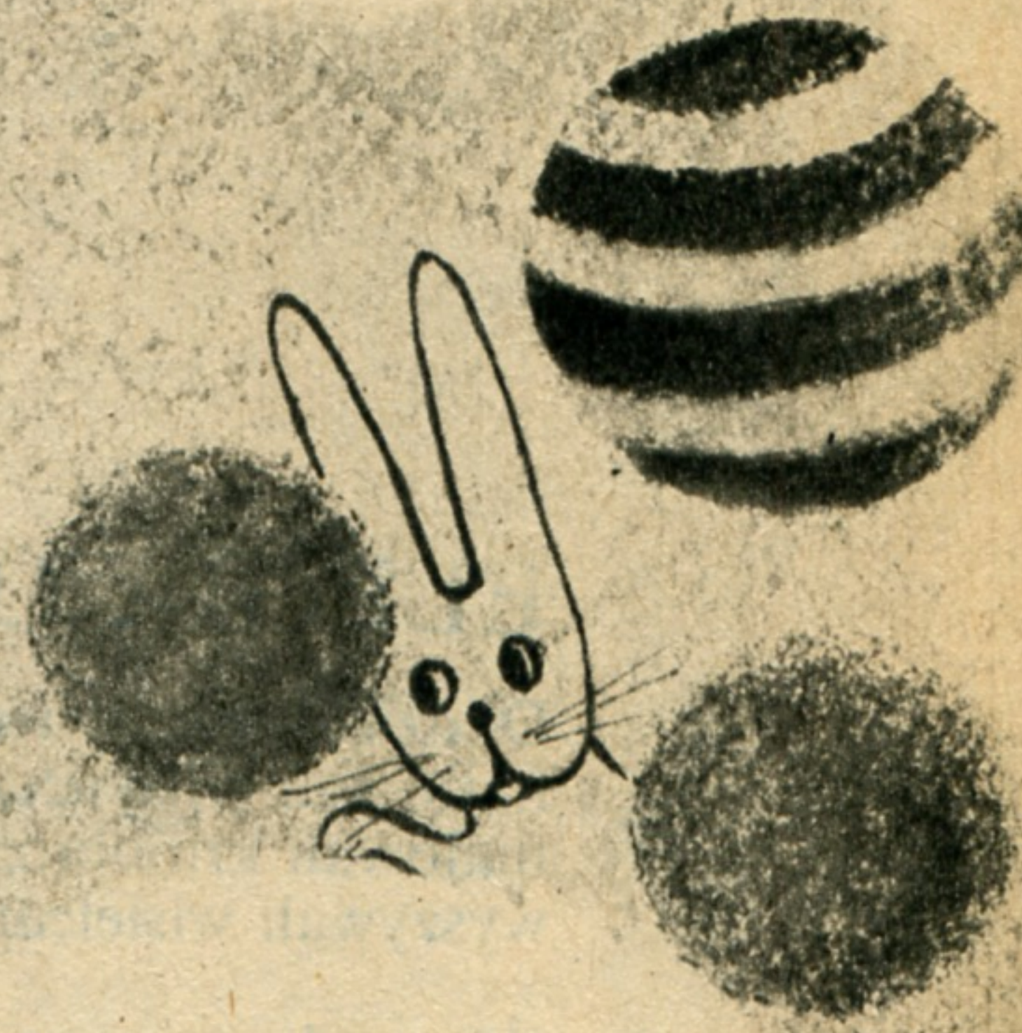

Zając skoczył do lasu,
gdy wyszliśmy na drogę,
ktoś się mocno rozpędził
i przeskoczył przez ogień.

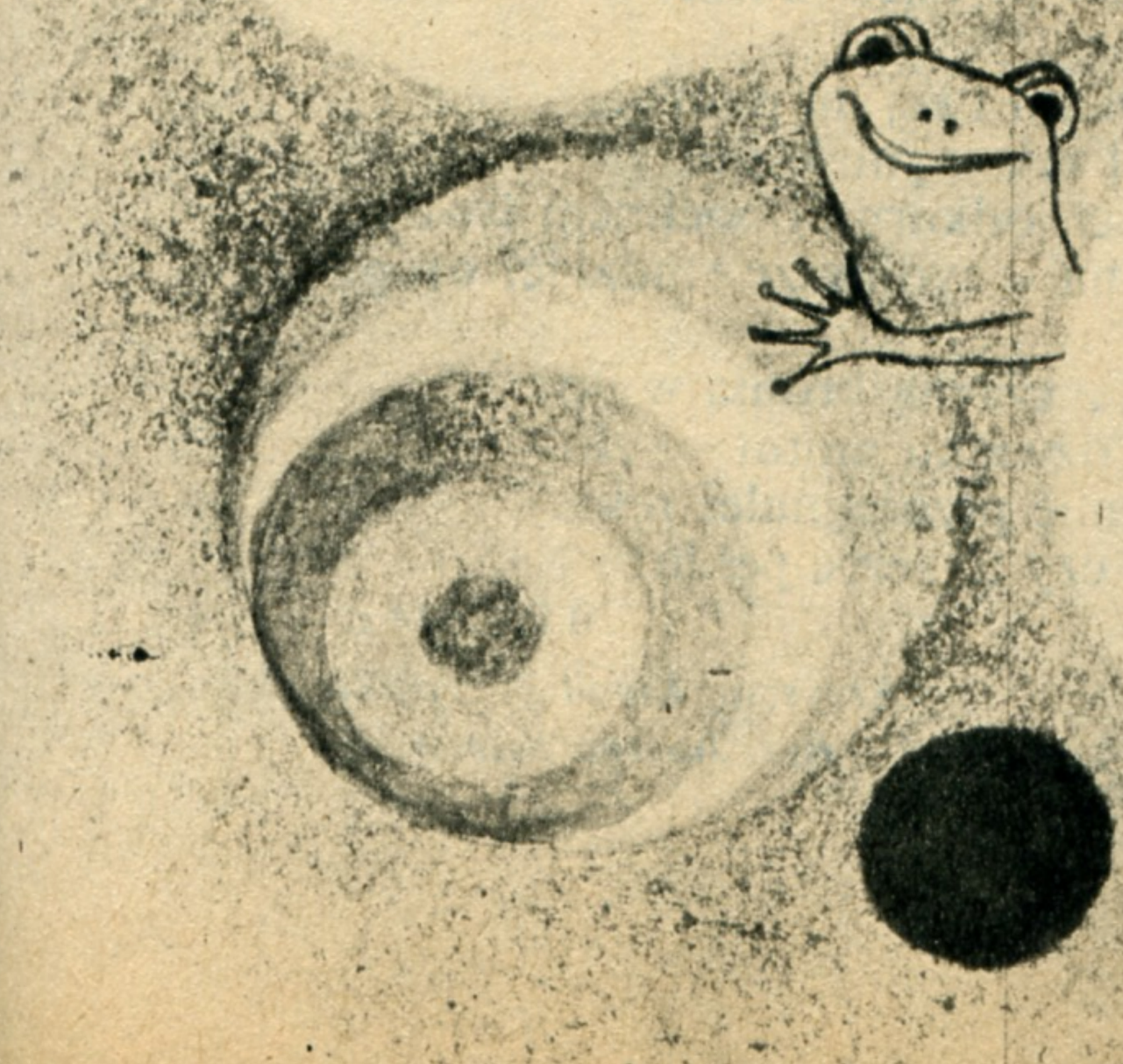

Żaba skacze po łące,
pasikonik w ziemniakach,
więc dlaczego my byśmy
też nie mieli poskakać!

Wincenty Faber
Rys. Elżbieta Barcik

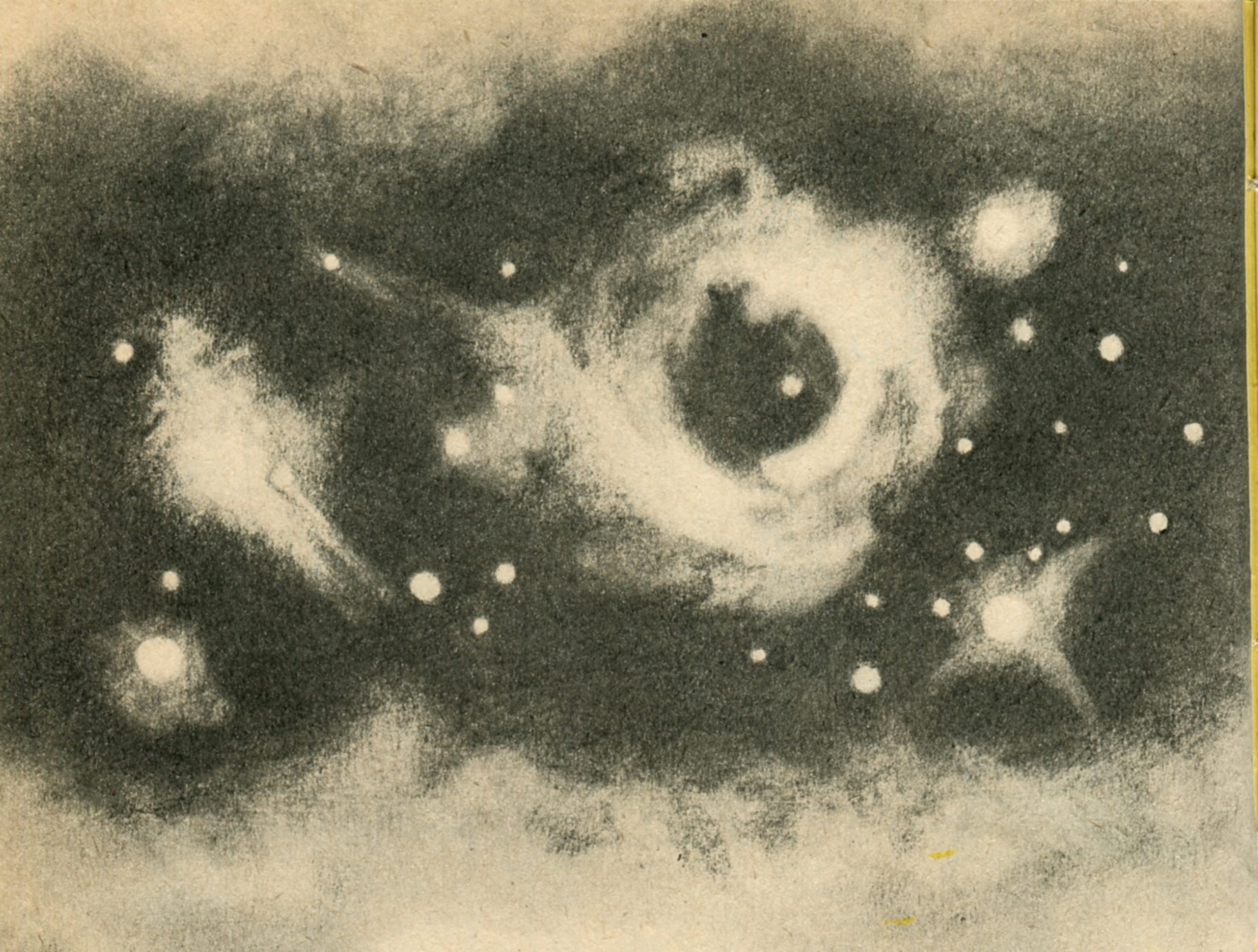

ELEGIA O... (chłopcu polskim)

Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drżą,
haftowali ci, syneczku, smutne oczy rudą krwią,
malowali krajobrazy w żółte ściegi pożóg,
wyszywali wisielcami drzew płynące morze.

Wyuczyli cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przemierzyłeś po omacku najwstydliwsze z ludzkich dróg.

I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut — zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?

20.III.1944 r.

Krzysztof Kamil Baczyński
Rys. Justyna Bednarska

NAJMŁODSI ŻOŁNIERZE POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Byli młodzi, byli nawet dziećmi w Waszym wieku. Ich bohaterstwo przekraczało ich wiek i wzrost. Było to bohaterstwo połączone z całkowitym poświęceniem się dla Ojczyzny.

Kto nie mógł walczyć o wolność z bronią w ręku, stawał do służby pomocniczej, tak samo ważnej i niebezpiecznej jak walka na barykadach. Najmłodsi żołnierze-powstańcy (najczęściej harcerze) krętymi przejściami nosili meldunki do walczących oddziałów, pod ogniem nieprzyjaciela roznosili pocztę dla ludności cywilnej, a dziewczęta ratowały rannych.

Powstanie trwało 63 dni (od 1.VIII do 2.X.1944 r.). Nasza stolica została okrutnie zniszczona. Zginęło blisko 180 tys. mieszkańców Warszawy i około 18 tys. żołnierzy Powstania, wśród których byli harcerze w Waszym wieku.

Dla upamiętnienia bohaterstwa najmłodszych żołnierzy Powstania Warszawskiego wzniesiono w 1983 roku w Warszawie Pomnik Małego Powstańca. Stoi na Starym Mieście w pobliżu Barbakanu.

A. O.

Fot. Stefan Rutkowski

Fotografował
TADEUSZ BUKOWSKI

POWSTANIE W WARSZAWIE

NATARCIE NA STAWKI

(Fragment)

(...) Wraca Maryśka. Ledwie zdążył powiedzieć, że celem naszego natarcia są magazyny na Stawkach — a już w powietrze wylatuje czerwona rakieta: znak do natarcia. Maryśka wysyła drużyny. Sam posuwa się przy naszej. Po kilku minutach dopadamy budynku Urzędu Celnego przy Inflanckiej. Maryśka pierwszy. Mały Jaś za nim, następnie ja z Burym. Wpadamy do wielkiej sali. Jakiś zaskoczony Niemiec ucieka drugimi drzwiami. Maryśka strzela za nim, ale niecelnie.

Niemiec uciekł, zostawiając czapkę. Maryśka klnie, na czym świat stoi. Podchodzi do biurka, przy którym tamten widocznie siedział, i wyciąga z szuflady pliki „górali". Nikt ich nie rusza. Znalazł również pełną skrzynię wódki monopolowej. Wynosi ją wesoły i oddaje pod opiekę sanitariuszkom, zastrzegając, żeby nikomu nie dawały.

Cały budynek opanowany jest przez naszych. Jędrek z kilkoma harcerzami zajął się likwidacją pantery, która stała przy ulicy i uniemożliwiała nam posuwanie się naprzód. Poszli z granatami i gamonami [1]. Po kilku minutach wrócili, ale nie wszyscy. Dwóch zginęło, nim zdołali unieszkodliwić pancernego kolosa.

Wysuwamy się teraz do przodu w kierunku magazynów, gdyż „Sad" poszedł już dawno na prawe skrzydło, a nasz pluton pozostaje w tyle. Obok mnie biegnie Maryśka z wyciągniętą ręką, w której ściska parabelkę. Zza węgła drewnianego domu wyłaniają się głowy dwóch wystraszonych szkopów z obsługi karabinu maszynowego. Na nasz widok porzucają broń i uciekają. Maryśka krzyczy i strzela za nimi. Chwyta drżącymi rękami pierwszą zdobycz.

— Strzelaj! — powiada, oddając mi emgie i zabierając mój pistolet maszynowy.

Dobiegamy do pierwszego baraku magazynów. Po drodze znajdujemy dwa następne karabiny maszynowe. Niemcy uciekli nam sprzed nosa, mimo że Maryśka strzelał za nimi.

Z prawego skrzydła dolatują nas odgłosy rozrywających się granatów. Niemcy biją po plutonie „Sad". Biedny „Sad". Domyślamy się już, że muszą tam mieć duże straty. Pierwszy olbrzymi barak-magazyn, pełen cukru i konserw, pali się powoli. Ślinka nam leci do ust na widok zgromadzonych zapasów, ale nie ma czasu na zaspokajanie głodu. To na później, jak wygonimy już Niemców.

Obok wejścia do piwnicy stoi malutki czołg z rozwiniętym drutem. Widzę go po raz pierwszy.

— Uwaga, to goliat! — krzyczy Maryśka i biegnie za drutem, który prowadzi do piwnicy.

Wpada do piwnicy, z której dochodzi jego krzyk zagłuszony nagle jakimś hukiem.

— Hände hoch! [2] Poddacie się, sukinsyny, czy nie?!

Nie znalazł nikogo, niepotrzebnie strzelał.

Znalezionymi nożycami Czesiek przecina drut i już po wszystkim. Goliat został unieszkodliwiony.

Pada rozkaz:

— Drużynami naprzód.

Biegniemy teraz z Burym w lewo od pobliskiego budynku szkolnego. Z prawej strony jedzie czołg i pruje z emgie. Przeskakujemy przez ulicę do budynku pod ogniem. Jest tu już Maryśka z Jasiem i Małym Jędrkiem. Nie wiem, jak Maryśka to robi. Chyba fruwa czy co?! Biegniemy teraz wszyscy długim korytarzem. Sale stoją otworem, puste prycze, pootwierane konserwy, podarte koce leżą na podłodze. Wszystko świadczy, że Niemcy byli tutaj przed chwilą. Byli

Fot. Tadeusz Bukowski

nawet jeszcze wtedy, kiedy chłopcy wpadli do budynku, bo Maryśka z Jędrkiem jednego zatłukli i później się sprzeczali, kto go zabił.

Strzelanina przybiera na gwałtowności. Dobiegamy do drugiego końca korytarza i zajmujemy stanowiska. O kilka metrów od budynku stoi drugi czołg. Maryśka rzuca granat, a Jędrek strzela ze szmajsera. Czołg dymi i próbuje odjechać. Jakiś Niemiec chce uciec na motocyklu w kierunku Woli, ale seria pistoletu maszynowego Maryśki przecina mu drogę. Wali się martwy.

Po kilkunastu minutach ożywionej strzelaniny przychodzi łącznik z rozkazem natychmiastowego wycofania się do kompanii. Próbujemy się przedostać przez ulicę, ale to niemożliwe. Ostrzał jest tak silny, że nie można wysadzić nosa. Maryśka szuka drugiego wyjścia w innym kierunku. Nie ma. Po kilku minutach szukania Janka znajduje wreszcie jakąś bramę. Rozwalamy ją gamonem. Ale tu znów strzela z niewidocznego gniazda jakiś emgie.

Dopiero po kilkunastu minutach udaje się nam przedostać przez ulicę. Szukamy kompanii. Już jej nie ma. Spotykamy jakiegoś kapitana. Dowodzi grupą, która przyszła nas zluzować. Nasza kompania odmaszerowała już przed chwilą. Obok magazynu leżą trupy. Poznaję Nowinę. Odłamki granatu z moździerza podziurawiły go całego. Obok leży niczym nie różniący się żołnierz niemiecki: w takim samym hełmie, panterce i spodniach.

Wracamy w kierunku Muranowa. Po drodze w wielkiej hali zajezdni tramwajowej spotykamy kompanię. „Sad" ma bardzo duże straty. Formujemy się w kolumnę i idziemy. Czoło zaczyna śpiewać:

Hej, po drogach dmie wichura...

Chłopcy idą uśmiechnięci, niosąc zdobycz w postaci ekwipunku, broni, cukru i konserw. Nasza drużyna niesie cztery zdobyte emgie. Ponadto każdy ugina się pod ciężarem skrzyń z amunicją.

Przechodzimy ulicą Przebieg. Z bramy wyglądają nasi niedawni znajomi. Na twarzach maluje się pytanie:

„Jak tam poszło? Czy wszyscy żyją?"

1945

Witold Sikorski
pseudonim Boruta
Kompania „Rudy", pluton „Alek"
(Z książki „Pamiętniki żołnierzy baonu »Zośka«").

---

[1] Angielskie granaty przeciwczołgowe

[2] Ręce do góry! (niem.)

OBYCZAJE, W KTÓRYCH WYRASTAŁO POKOLENIE PO POKOLENIU

Za ścianą z ciosanych bierwion była puszcza, pełna dzikiego zwierza, poprzecinana biegiem rzek, kryjąca zdradliwe oparzeliska i śródleśne młaki. Tam, gdzie ludzie zrąbali śmigłe sosny płaczące kroplami żywicy i krępe dęby o spękanej korze, gdzie wypalili puszczański gąszcz i poprowadzili radło przeorując nowiznę, tam tylko, wiatr przywiewał zapach dymu, znak, że wśród nieprzebytych borów kryją się ludzkie siedziby.

Pod jednym dachem krytym dartymi gontami, przy jednym ognisku spotykał się cały ród: dziadowie, rodzice, wnuki. Bywało, że domostwo nie mogło pomieścić w sobie zbyt rozrosłego rodu, wtedy na tej samej porębie wznoszono nowe chaty. Powstawało sioło.

Gdy na świat przychodziło dziecko, strzeżono go pilnie, by blade nocnice i czyhające wśród gęstwiny dziwożony, nie przemieniły lub nie porwały niemowlęcia. Wkładano nowo narodzonemu do wiszącej u powały kołyski kawałek żelaza, które miało moc odstraszania złych demonów, zawiązywano na przegubie dziecięcej rączki sznur czerwonych paciorków, wieszano woreczki z ziołami chroniącymi od uroku.

Ojciec podnosił nowo narodzone dziecko do sosrębowej belki, potem schylając się dotykał jego czołem progu, żeby pradziadowie poznali nowego członka rodu. Była to ważna ceremonia, jeżeli jej nie dokonano, wykluczało to dziecko z rodziny.

Potem rosło dziecko, raczkowało po glinianej polepie trzymając się matczynej zapaski, bawiło się konikami i wołkami ulepionymi z gliny, bądź wyrzezanymi z drewna, dziewczynki kołysały zszyte z lnianych szmatek kukły z włosami ze lnianych paczesi. Od najmłodszych lat uczono je szacunku dla domowego ogniska i domowego progu. Przed płonącym ogniem nie wolno było nieprzystojnie usiąść, wrzucać w płomienie nieczystości, splunąć na żarzące się bierwiona. Po dłuższej niebytności należało pokłonić się nisko progowi.

Wpajano też dzieciom szacunek dla starszych. Tylko bardzo mały berbeć mógł się odezwać nie pytany w obecności dziada, ojca, stryja czy wuja. To dorośli mężczyźni postanawiali o przyszłym losie dziecka, to oni wprowadzali malca w tajemnice rodu i puszczańskiego życia.

W wieku siedmiu lat chłopiec był poddawany obrzędowi postrzyżyn, a to znaczyło, że spod opieki matki przechodzi pod opiekę ojca. Zazwyczaj postrzyżyny czczono pirem, czyli ucztą, zgromadzeni goście zajadali się pszennymi kołaczami, pili sycone miody i piwo uwarzone z mocno chmielonej brzeczki, łuskali laskowe orzechy.

Dziewczynkom nie wyprawiano żadnych uroczystości, po prostu dreptały krok w krok za matką ucząc się, jak się zaczynia ciasto w dzieży, jak się ubija masło w kierzance, jak się kręci żarna, jak się rozdmuchuje rankiem przysypany siwym popiołem żar w ognisku. Mało czasu zostawało dzieciom na zabawy, w miarę swoich sił pomagały dorosłym.

Brały już teraz udział w dorocznych świętach. Gdy pękały lody, a rzeka poczynała znów toczyć swoje fale, topiono Marzannę, symbolizującą złą zimę. Z pojawieniem się pierwszej zieleni przynoszono do sioła zrąbane w borze młodziutkie drzewko, maik.

Gdy dzień stawał się coraz dłuższy,

a nocne ciemności wydawały się kurczyć i maleć, zapalano w kupalną noc ognie, by dopomóc letniemu słońcu w utrzymaniu życiodajnej siły. Skakało się wysoko, jak najwyżej, przez buchające płomienie, żeby równie wysoko rosło zboże, konopie, trawa. W tę najkrótszą noc w roku, młode dziewczęta puszczały wianki na wodę. Cieszyły się, kiedy wianek porwany nurtem odpływał na dobrą wróżbę, płakały, kiedy zaczepił się o wierzbowe gałęzie lub, jeszcze gorzej, utonął, bo wróżyło to nieszczęście.

Razem z żeńcami, we żniwa dzieci przystrajały babę, ostatni snop na żniwnym polu. Zdobny w kiście jarzębiny, kwiaty, związany ozdobnie plecionym powrósłem, snop wędrował uroczyście do sioła i tam, w kącie domostwa, czekał na grudniowe godne święta. Uroczyste też było wypieczenie chleba z nowej mąki, chleb ten dzielono między wszystkich domowników, życząc sobie nawzajem, by na przyszły rok bochen był jeszcze większy.

Rys. Maria Mackiewicz

Za ścianami płakały jesienne wichury, dzień się rozpływał w zimnych deszczach, pierwsze przymrozki ścinały białą szrenią trawę, nastawał czas, by pomyśleć o zmarłych. Wędrowano więc na żalnik, zwykle położony na rozstaju dróg i na zapadniętych mogiłkach rozpalano ogień z gałązek tarniny dla ogrzania błąkających się dusz, stawiano dwojaki z jadłem dla ich nakarmienia. W pusty wieczór przygotowywano na ławie przed ogniskiem ucztę, polepę izby wysypywano popiołem, po pozostawionych śladach starano się odgadywać, jacy zmarli gościli pod dachem domostwa w tę noc.

W grudniowe zawieruchy obchodzono gody, godne święta. Gotowano obrzędowe potrawy. Do naszych czasów dochowała się kutia, gotowane ziarno pszenicy, miód i mak, oraz tłokno, kisiel z owsa. Słomą z przechowywanego od żniw w chacie snopa, przewiązywano drzewa owocowe, ziarnem karmiono żywinę: krowy i woły, owce i barany, pochrząkujące w grodzi świnie, wypasione na bukwi i żołędziach.

Poza tymi świętami składano od czasu do czasu ofiary bogom. Dla strzegącego progu ubożęcia wystarczyła miseczka mleka, dla bóstw nieba i ziemi przynoszono ofiary pod konary potężnych starych drzew, głównie dębów, albo wrzucano je do wody świętych źródeł. Czasem wędrowano do chramu, by pokłonić się posągowi bóstwa i zasięgnąć wróżby. Żercy, bo tak nazywano kapłanów, przepowiadali przyszłość wyrzucając żreby, płaskie drewienka, z ich ułożenia odczytywali to, co niewiadome.

Gdy dzieci stawały się dorosłymi ludźmi, starszyzna rodowa wybierała

Dokończenie na str. 19

BŁĘKITNY WIATR

błękitne niebo
błękitne morze
i ja jak mrówka naprzeciw fal

w morzu lśni muszla
na niebie gwiazda
a dookoła Błękitny Wiatr

ach jakże chciałbym
posiąść tę muszlę
pełną srebra i ciszy

Błękitny Wietrze
który wszędy jesteś
przynieś mi srebrną muszlę z głębiny!

o jakże chciałbym
posiąść tę gwiazdę
pełną snów i blasku

Błękitny Wietrze
wołam do Ciebie
przynieś mi z nieba gwiazdę!

ale on nie słyszy
nie słyszy
nie słyszy mnie
Błękitny Wiatr

całe niebo sobą wypełnia
a ja ledwie
mrówką jestem

wśród wysokich traw

Ivica Vanja Rorić
Przełożył Tadeusz Chudy
Fot. Włodzimierz Barchacz

„GROM"

Na kanale La Manche szaleje sztorm, kolejny jesienny sztorm. Wysoka, stroma fala podbija dziób okrętu, ucieka spod niego, podrywa z kolei rufę, a na przedni pokład wali się lawiną piany następny wał wodny, rozbijając się o falochrony, o osłony dział, o nadbudówki. Uderzenia wichru chylą sztormujący wschodnim kursem okręt na burty w niepokojąco głębokich przechyłach. Niskie, ołowianoszare chmury gaszą światło dnia, przedostatniego dnia września 1939 roku.

Na zmagającym się ze sztormem okręcie wiatr szarpie biało-czerwoną banderę. Wynurzająca się chwilami z pian burta przedniej części kadłuba ukazuje, snadź niedawno malowany znak taktyczny: literę H i liczbę 71. Na rufie cztery metalowe litery układają się w krótką nazwę „Grom".

Tak, to polski niszczyciel „Grom", wracający z Southampton, dokąd odprowadził cztery wielkie statki pasażerskie, i śpieszący z powrotem do Plymouth po nowe. W jego śladzie torowym pojawiają się i nikną wśród wodnych gór dwa inne szare cienie — brytyjskie niszczyciele „Janus" i „Jackal", tworzące wraz z „Gromem" zespół eskortowy na tej trasie.

Przedostatni dzień września... Dokładnie przed miesiącem, 30 sierpnia o 14.15, „Grom" żegnał port w Gdyni. Rozpoczynał wraz z bliźniaczą „Błyskawicą" i „Burzą" realizację planu „Pekin", kierującego okręty zachodnim kursem poza Bałtyk, na obce morza.

Niszczyciel zamykał wtedy jakże krótki pierwszy rozdział historii swej służby pod polską banderą, krótki — i niekoniecznie szczęśliwy. Od chwili rozpoczęcia tej służby i podniesienia bandery 11 maja 1937 roku, w tym samym Southampton, skąd teraz wracał, większość czasu zajmowało uzupełnienie wyposażenia, przeglądy techniczne, usuwanie usterek, szkolenie załogi, ćwiczenia na morzu — jednym słowem „docieranie" prototypowej jednostki i nadawanie jej szlifu bojowego. Mozolny i uciążliwy rytm tych czynności przerywały tylko z rzadka oficjalne wizyty w obcych portach: w Tallinnie i Rydze w roku 1937 i w Kopenhadze — w następnym.

Niestety, dalsza przerwa była już mniej miła. W czasie ćwiczeń desantowych w Zatoce Gdańskiej, w rejonie Babiego Dołu, dowodzony przez komandora Podjazd-Morgensterna „Grom" wszedł 28 lutego 1939 roku na mieliznę. Efektem było uszkodzenie osłon wałów napędowych i obu śrub oraz, co gorsze, skrzywienie wału lewej z nich. Winę za nieostrożny manewr ponosili dwaj oficerowie wachtowi, ale dowódcę kosztowało to ogromną wówczas sumę 78 tysięcy złotych, przypisaną mu do zwrotu — i utratę stanowiska. Gorzej jednak było z samym usunięciem uszkodzeń. Wobec naprężonej sytuacji politycznej stocznie gdańskie nie wchodziły w rachubę, a własna, gdyńska, miała ograniczone możliwości techniczne. W dodatku 7 marca „Grom" doznał dalszych uszkodzeń w kolizji z holownikiem „Kaper" — co prawda tylko niezbyt groźnego wgniecenia blach poszycia. Ostatecznie jednak remont udało się przeprowadzić w Gdyni — oprócz wyprostowania wału, co powodowało tylko nieznaczne zmniejszenie prędkości okrętu.

W dniu wybuchu wojny w południe „Grom" był już na wodach brytyjskich, witany przez niszczyciele „Wallace" i „Wanderer", a wieczorem stał już, wraz z „Błyskawicą" i „Burzą", na redzie portu w Leith.

Rozpoczął się drugi rozdział historii „Groma". Początkiem było „uczenie się wojny", od razu na serio, wobec realnego i groźnego wroga: atakowanie bombami głębinowymi wykrytych U-bootów, eskortowanie statków i patrole na wodach wokół południowych brzegów Anglii.

Niezależnie od walki z Niemcami, niszczyciel musiał zmagać się z samym sobą. Przeznaczony do służby na Bałtyku, silnie obciążony uzbrojeniem — nie mógł sprostać wielkim falom i sztormom otwartych mórz i oceanu: miał zbyt małą stateczność i jego przechyły sięgały zatrważających granic. To właśnie stało się podczas owego rejsu z Southampton, w miesiąc po rozpoczęciu kampanii wojennej, przyczyną pierwszej śmiertelnej ofiary na okręcie. Około godziny 10.30 potężna fala uderzyła w „Groma" i położyła go na burtę w niemal 50-stopniowym przechyle. Lawina wody zerwała maty ochronne z dział, zalała łodzie ratunkowe, uszkodziła drobny osprzęt — i zmyła z pokładu jednego z marynarzy, bosmanmata Kalinowskiego; drugi marynarz doznał licznych obrażeń. Niestetety, pomimo wykonania ryzykownego zwrotu i prób szukania rozbitka — morze nie oddało go. Pierwszy marynarz z „Groma odszedł na wieczną wachtę.

Po tym rejsie zarówno „Groma", jak i „Błyskawicę" skierowano do stoczni. Niszczyciele musiały zostać „odciążone", by mogły sprostać kaprysom oceanu. Na propozycję zmniejszenia uzbrojenia załogi odpowiedziały kategoryczną odmową. Chciano bić Niemców — i chciano mieć czym to czynić. Zdjęto więc z kominów efektowne, lecz ciężkie kołpaki, zdjęto górny pomost z równie ciężkim reflektorem, usunięto nie-

zbyt przydatne trały ochronne, motorowe łodzie i wielkie, dziesięciowiosłowe barkasy, ba! — nawet żeliwną wannę z łazienki dowódcy. No, i zalecono nieprzeładowywanie podręcznych magazynów w nadbudówkach i pod pokładem. W sumie okręty stały się lżejsze o około 60 ton — i oczywiście znacznie bardziej stateczne.

Z końcem października „Grom" wrócił do czynnej służby i eskortowo-patrolowego kieratu — najpierw na Morzu Irlandzkim, a od listopada na wodach południowo-wschodniej Anglii. Tutaj okręt poznał dwa nowe niebezpieczeństwa: atakujące samoloty niemieckie i miny magnetyczne. Przybrzeżne wody usiane były wrakami statków i okrętów, a ich sterczące z płytkich wód maszty i kominy były stałym i ponurym memento na trasach konwojów.

W styczniu 1940 roku „Groma" nieco uodporniono na owe zabójcze miny. W stoczni w Chatham zainstalowano na jego kadłubie kable demagnetyzacyjne, poprawiając przy okazji układ wyrzutni bomb głębinowych. Okręt opuścił dok 22 marca — na dwa tygodnie przed niemiecką inwazją na Norwegię — i otworzył trzeci rozdział swej historii, niestety — ostatni.

Kampania norweska połączyła znowu wszystkie trzy polskie niszczyciele działające dotąd oddzielnie. Już w pierwszych dniach wzięły one czynny udział w akcjach. Osłaniały zespół pancerników na Skagerraku, eskortowały wielki konwój 31 statków z Bergen do Rosyth — wśród nich statek przewożący złoto ze skarbca Banku Norweskiego — a później wracający do bazy uszkodzony ciężki krążownik brytyjski „Suffolk".

W ostatnim tygodniu kwietnia „Grom" i „Błyskawica" znalazły się pod Narvikiem: „Burza" musiała zawrócić do bazy dla usunięcia drobnych awarii. Rozpoczęła się dekada zaciętych walk z Niemcami — dziwnych walk okrętów z lądem. Narvik — miasto, brzegi fiordu i linia kolejowa do szwedzkiej Kiruny były w rękach niemieckich. We wszystkich możliwych punktach tkwiły gniazda broni maszynowej i artylerii — na szczęście tylko lekkiej i przeciwpancernej. Zadaniem okrętów był więc nieustanny patrol na wodach fiordu, nękanie Niemców ogniem dział, przeszkadzanie im w umacnianiu pozycji, a przede wszystkim paraliżowanie prób wznowienia transportu zaopatrzenia i rudy, owej wspaniałej szwedzkiej rudy, która była głównym powodem zmagań o Narvik.

Okręty polskie, a szczególnie „Grom", stały się zmorą i postrachem dla wroga. Penetrując lornetami zakamarki brzegu biły ogniem w każdy podejrzany punkt, w każdy zauważony ruch, w każde odkryte gniazdo broni maszynowej, w każdą pozycję dział. Niemcy — co potwierdziły ich relacje i źródła — byli nękani bez przerwy, głodni, zziębnięci, wściekli na „przeklętych Polaków" i niemal bezsilni. Niemal — ale nie całkowicie. Ich przeciwpancerne działa odgrywały się, jak mogły — i 2 maja wieczorem cztery pociski z nich trafiły w maszynownię „Błyskawicy", która musiała odejść do pobliskiego Skjelfiordu dla naprawy uszkodzeń.

Oczywiście, jej miejsce zajął natychmiast „Grom" i zaraz rozpoczął artyleryjski duet z Niemcami, niszcząc w następnym dniu trzy ich kolejne działa. Co prawda, okręt również otrzymał trafienie, które uszkodziło lekko jeden z kotłów — ale nie było to nic poważnego.

Nadszedł tragiczny dzień 4 maja, cichy, spokojny, idealnie pogodny. Około godziny 8.00 okręt stał na wodach fiordu z zastopowanymi maszynami i obserwował zbliżający się zespół brytyjski — krążownik „Aurora" i dwa niszczyciele; nieco dalej szedł drugi krążownik, „Enterprise". W tym momencie zauważono dwa niemieckie samoloty na wysokości 3000 m i trzeci, niezmiernie wysoko, znacznie powyżej 5000 m. Idące niżej maszyny nie atakowały „Groma"; wydawało się, że kierują się raczej na eskadrę brytyjską. Pozostały „Niemiec" — Junkers — był raczej niegroźny. Z tak wielkiej wysokości nigdy nie rzucano bomb; szanse trafienia byłyby niemal żadne. Pomimo tego dowódca „Groma", komandor Hulewicz, polecił uruchomić maszyny i okręt począł powoli nabierać prędkości.

W tej samej chwili Junkers puścił z podniebnego pułapu serię sześciu bomb. Decydowały teraz ułamki sekund. Krzyk komendy, gwałtowne przełożenie steru na burtę, próba rozpaczliwego zwrotu i uniku...

Na próżno, niestety, na próżno! Słabo jeszcze słuchający steru niszczyciel odchyla się wolno w bok, unika wprawdzie czterech bomb — ale dwie trafiają. Trafiają z fatalną, nieprawdopodobną w tych warunkach precyzją, niemal przez niepojęty przypadek.

Pierwsza uderza w wyrzutnię torpedową — i z grzmotem jej wybuchu łączy się eksplozja bojowych głowic torped tkwiących w rurach. Druga rozrywa poszycie prawej burty na długości dwudziestu metrów na wysokości maszynowni, zrywając zarazem z żurawików łódź ratunkową. Niszczyciel stoi przez chwilę nieruchomo, lekko tylko przechylony na zranioną burtę, jakby nieświadom tego, co się stało.

Ale okręt — jak śmiertelnie ranne zwierzę — ma przetrącony grzbiet. Kadłub niszczyciela przechyla się naraz gwałtownie na

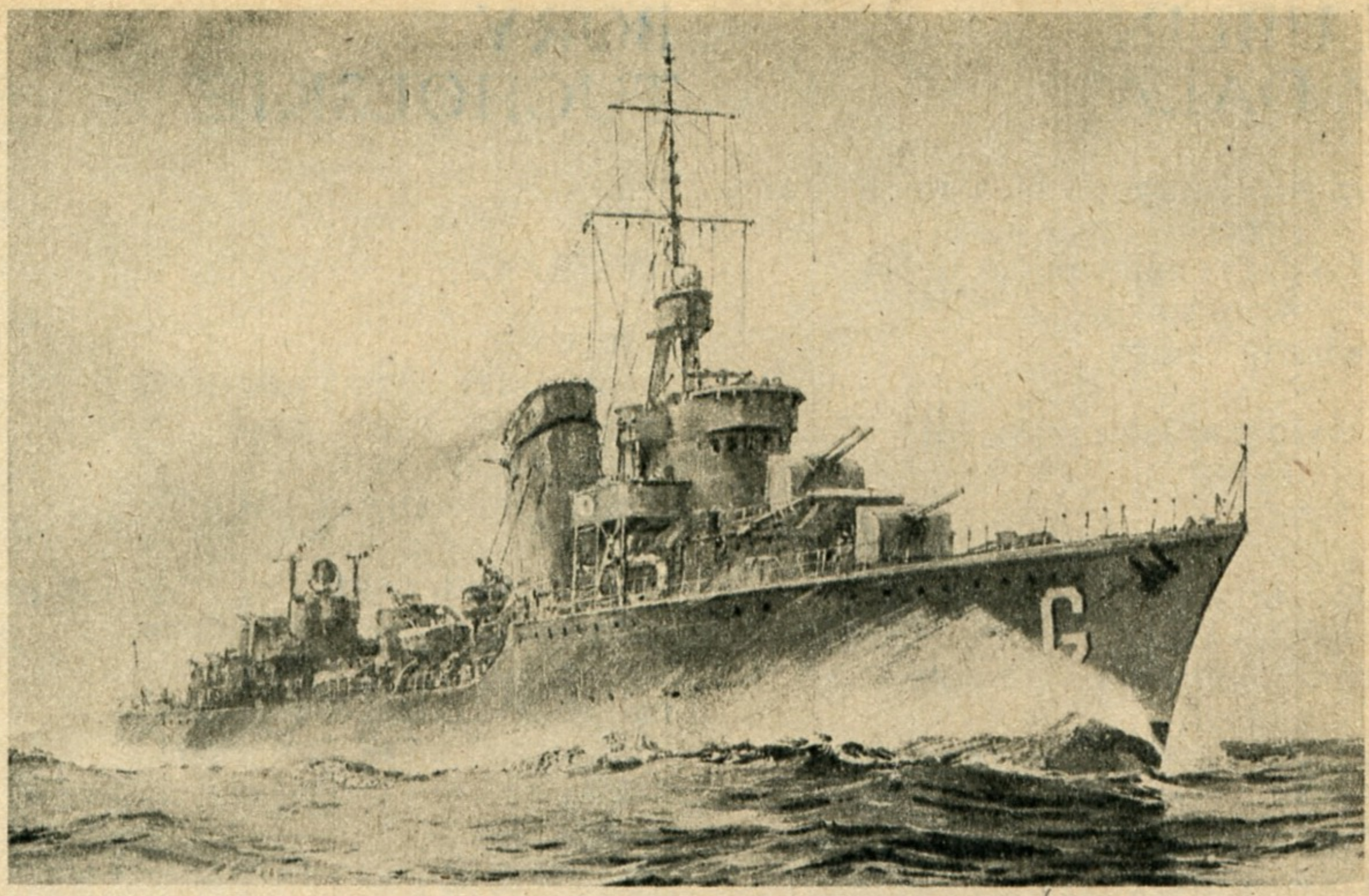

Rys. Adam Werka

bok, potem prostuje, łamie się w połowie, dziób i rufa poczynają się coraz szybciej unosić w górę, zwierając się wreszcie jak niesamowite nożyce. W ciągu niespełna czterech minut „Grom" zapada się w odmęt fiordu.

Zagłada przyszła tak niespodziewanie, że zrzucono tylko na wodę dwie małe tratwy ratunkowe i wygarnięto z zasobników nieco pasów korkowych. Ludzie z „Groma" miotają się w lodowatej wodzie fiordu. Miotają się, gdyż ich walka jeszcze się nie skończyła. Niemcy prowadzą bowiem z brzegu zajadły ogień z broni maszynowej do rozbitków, siekąc seriami po wodzie. Dołącza do nich niemiecka łódź wypływająca spoza małej wysepki — i z niej padają gęsto strzały.

Wśród wyprysków wody wciągani są na tratewki ranni, inni czepiają się ułamków desek, pasów korkowych. I wśród tego dramatu groteskowy, wisielczy humor: jeden z marynarzy, zupełnie nagi, płynąc kryje głowę w wodzie, by uniknąć niemieckich kul — ale zanurzając ją wystawia co innego.

I wtedy najpierw pojedyncze głosy, a potem już ich wiele zaczynają krzyczeć i powtarzać:

— Jasiu, nie chowaj głowy, ale d..., Jasiu, nie chowaj głowy...

Ten krzyk jak gdyby przełamuje koszmar. Brytyjskie okręty — krążownik „Enterprise" i niszczyciele „Faulknor" i „Bedouin", podchodzą i osłaniają kadłubami rozbitków od ognia z brzegu, uciszając stopniowo salwami niemieckie karabiny maszynowe. „Aurora" rozstrzeliwuje ową łódź nie opodal wysepki i dołącza do akcji ratunkowej. Po niespełna czterdziestu minutach wyłowieni są już wszyscy — wszyscy, którzy przeżyli dramat.

W tych pełnych grozy chwilach uderzający był spokój i brak paniki na ginącym okręcie. Może dzięki temu, pomimo tak szybkiej zagłady, zginęło tylko 59 ludzi — chociaż mogli zginąć wszyscy.

Okręty brytyjskie uratowały 130 marynarzy — w tym 23 rannych.

Potem jeszcze pokład i lazaret brytyjskiego pancernika „Resolution", potem honory wojskowe przy przejściu w Herjangsfiordzie na „Burzę", potem rejs na okręcie szpitalnym „Atlantis" i dłuższy na transportowcu „Monarch of Bermuda" — i bezpieczna, spokojna baza w Greenock.

Pod Narvikiem pozostał tylko samotny „Grom" pod ciemnymi wodami fiordu. Pozostał aż do lat powojennych, gdy Norwegowie podnieśli jego wrak i pocięli na złom — i przypomina go tylko kamienna tablica na cmentarzu Haakvik.

Lecz ludzie z „Groma" nie zaprzestali walki: wielu przeszło na „Huragana", a później na „Kujawiaka", „Krakowiaka", „Pioruna"...

Ale to już całkiem inna historia.

Jan Piwowoński

Z książki „Flota spod biało-czerwonej"

LUBLIN Z DALA

Na wieży furgotał blaszany kogucik,
na drugiej — zegar nucił.
Mur fal i chmur popękał
w złote okienka:
gwiazdy, lampy.

Lublin nad łąką przysiadł.
Sam był
i cisza.

Dokoła
pagórków koła,
dymiąca czarnoziemu połać.

Mgły nad sadami czarnemi.
Znad łąki mgły.
Zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły.

Józef Czechowicz

BORY TUCHOLSKIE

Już świta
Nie
Jeszcze nie

O teraz
Już zdjął las ciemną nocy czapkę

Już go widać
Z mgły wychodzi ku rzece
Na dębowych nogach na brzegu staje
Żeby bezpiecznie napoić łanie

Łeb rogaty podnosi wysoko
Niby ogromny zielony jeleń

Nad stadem
Nad swoją żywiczną krainą
Codzienne rozpoczyna czuwanie

Andrzej Grzyb

NA KUJAWACH POWIADAJĄ

Na Kujawach powiadają:
Kujawianie wcześnie wstają.
Jeszcze słońce śpi za rzeką,
a już szemrze w wiadrach mleko.
Odpędzają sen koguty,
a na wozach konwie dzwonią.
Mierzy drogę koń podkuty,
w kuchniach dobre ognie płoną.
Jeszcze kosy piórka czeszą,
a już Kujawianki spieszą
do buraków, do pszenicy...
Piosnkę słychać w okolicy.
Na Kujawach powiadają,
że najpiękniej skrzypce grają
od Gopła po Izbicę,
od Lubienia po Lubraniec.
Na Kujawach powiadają:
Kujawiaczek — to jest taniec!

Jadwiga Jałowiec
Rys. Janina Krzemińska

SPECJALNIE DLA „PŁOMYCZKA"

Spotkanie z Afryką (2)

ZEBRY

Zebry spotykaliśmy w Zimbabwe wielokrotnie. Po raz pierwszy z bliska i na wolności widzieliśmy zebry w Parku Narodowym Hwange, kilkaset kilometrów od stolicy kraju, Harare. Ledwie niebo poszarzało, kiedy z domków dla turystów, nazywanych tu lodżami, zaczęli pośpiesznie wychodzić do swoich samochodów niemal wszyscy, którzy spędzili tu noc. Większość miała ze sobą lornetki i aparaty fotograficzne.

Niektórzy wybrali się na tę wyprawę odkrytymi samochodami terenowymi, przypominającymi nasze gaziki z wysoko ustawionymi siedzeniami, aby można było bez przeszkód obserwować zwierzęta.

Za zakrętem drogi, wśród wypalonych słońcem, porudziałych traw spostrzegliśmy kilkadziesiąt metrów od wodopoju, stadko zebr. Nie uciekały na nasz widok. Do wodopoju zwierzęta podchodzą w określonej kolejności. Kiedy antylopy, które były nad brzegiem tej niewielkiej sadzawki, zaspokoiły swoje pragnienie i odeszły, majestatycznie zbliżyły się zebry. Napiły się i też odeszły w busz. Potem jeszcze wielokrotnie widzieliśmy zebry poważnie przychodzące i odchodzące od wodopojów.

Z bliska zebrę zobaczyłem dopiero wtedy, gdy do Parku Narodowego pojechaliśmy na koniach. Nasz przewodnik wjechał niemal w środek stada. Wydawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, aby pogłaskać zwierzę, że niemal z konia można przesiąść się na zebrę.

Drugim razem też z bliska widziałem zebry pewnego dnia o świcie. Szedłem ścieżką opodal brzegu jeziora, wśród traw, które chwilami były takie wysokie, że ponad nimi zupełnie nic nie było widać. Nagle wśród takiej wysokiej trawy zobaczyłem dwie piękne zebry. Zbliżałem się do nich powoli, zatrzymując się co chwila i przygotowując do zrobienia zdjęć. Wielokrotnie naciskałem spusty moich aparatów, a zebry wcale nie uciekały. Nie chciałem jednak podchodzić zbyt blisko. Kiedy jednak wracałem z tego spaceru, udało mi się zbliżyć jeszcze bardziej.

Podobno nie ma dwóch zebr o takim samym rysunku pasów na skórze. Dopiero z bliska, spokojnie obserwując, widać wyraźnie różnice.

Dorosłe zebry osiągają 140 cm wzrostu i ważą ok. 400 kg. Piękne proporcje ich budowy i sposób zachowania powodują, że można na nie patrzeć przez długi czas, a zwłaszcza jest to przyjemne, kiedy można obserwować je na wolności.

Tekst i fot. dr Leszek Marek Krześniak

ZEBRA

Czy ta zebra jest prawdziwa?
Czy to tak naprawdę bywa?
Czy też malarz z bożej łaski
Pomalował osła w paski?

Jan Brzechwa

FOTO zagadka

CO TO JEST?

Kto nie zgadnie — znajdzie odpowiedź na str. 27

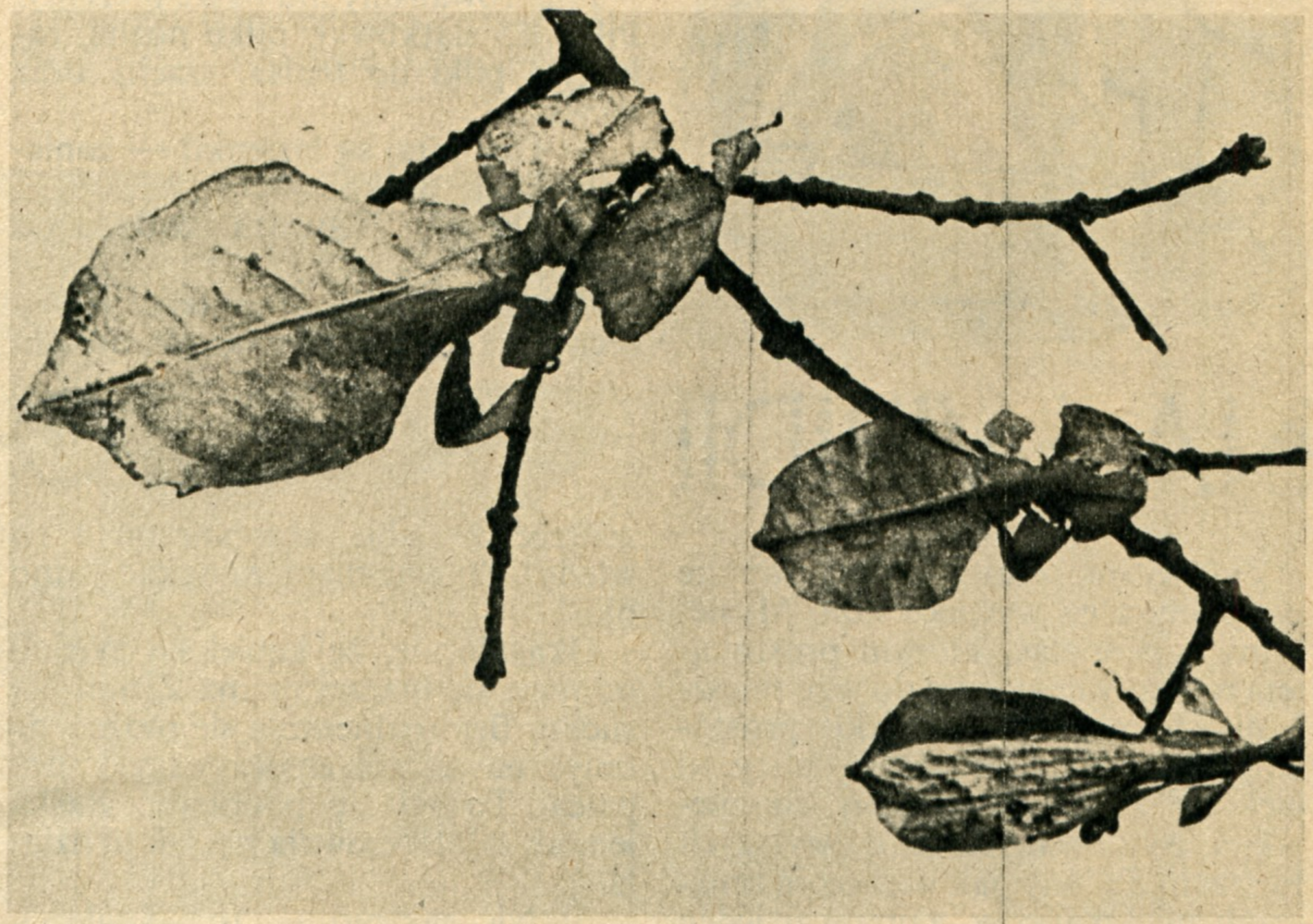

Fot. Tadeusz Bukowski

Dokończenie ze str. 11

Obyczaje, w których wyrastało pokolenie po pokoleniu

żonę dla chłopca i męża dla dziewczyny. Czasami, ale bardzo rzadko, zdarzało się, że młodzi dogadywali się za plecami rodziców i chłopiec porywał dziewczynę. Taki sposób zawierania małżeństwa nazywano umyczką.

Dopóki młoda żona nie urodziła syna, była niewiastką, to znaczy kimś, o którym nic się nie wie, osobą obcą. Przyjście na świat dziewczynki nie zdejmowało piętna obcości, dopiero jako matka syna, stawała się naprawdę członkiem rodu, do którego weszła.

A kiedy w kołysce zawieszonej u powały zapłakało niemowlę, budziły się duchy naddziadów w sosrębowej belce, dni, miesiące, lata poczynały się toczyć swoim biegiem dla nowo narodzonego, by rósł i poznawał obyczaje, w których dorastały pokolenia po pokoleniach.

Aż przyszedł nowy czas, nowy Bóg, nowy obyczaj. Ale to całkiem inna historia niż codzienne obyczaje Słowian, naszych pogańskich przodków.

Ewa Nowacka

NA WIRIDII

Zielony mieszkał w jakimś trapezie osadzonym na wycinku kuli. Musieliśmy zapamiętać, którym prostokątem możemy dostać się do jego mieszkania. Pomimo że wszystkie prostokąty znajdowały się tuż przy ulicy, to niektóre z nich prowadziły do mieszkań usytuowanych na najwyższych piętrach. Zielony, jak większość tutejszych mieszkańców, zajmował jeden standard, to znaczy dość duży pokój, który można automatycznie dzielić na mniejsze pomieszczenia, w zależności od upodobania i potrzeb. Z mebli widoczne były tylko fotele. Ogromne, zrobione, jak te u profesora Puta — z przezroczystego tworzywa. Reszta sprzętów mieściła się w szufladach. Była więc szuflada — łóżko, szuflada — szafa, szuflada — barek i inne tajemnicze szuflady — nawet przystosowane do przechowywania robotów. Najbardziej rzucającym się w oczy elementem wyposażenia mieszkania był olbrzymi ekran wiszący na ścianie. Mógł on pełnić rolę obrazu, zasłony, telewizora lub po prostu okna.

Zielony przygotował dla nas niespodziankę — obiad po polsku, czyli ziemniaki, kapustę i kotlet. Co prawda, ziemniaki były słodkie, kapusta ugotowana w całości, a kotlet przypalony, ale kto by zwracał uwagę na takie drobiazgi.

Podarowaliśmy mu nasze prezenty. Piłkę do siatkówki, piłkę nożną, rakiety i piłki do tenisa, szachy oraz wrotki.

— Czy tutaj są łazienki? — zaniepokoiła się Baśka.

— Owszem. Czwarta szuflada od lewej.

Dziwna sprawa. Jeżeli teraz Baśka zechce się wykąpać, to będzie musiała

zedrzeć z siebie kombinezon i co wtedy? Znowu mam zamykać jedno oko?

Okazało się, że kąpiel na Wiridii odbywa się inaczej niż na Ziemi. Na sucho. Bez rozbierania się można się umyć nawet nie zmoczywszy końca palca. To mi się podobało. Baśka jednak zainteresowała się, jak to działa.

— Nic takiego — to wynalazek sprzed dwóch tysięcy lat, ale skuteczny. Prosta dyfuzja jonowa — wyjaśnił lekceważąco Zielony.

— Czyli z tego wynika, że kombinezon jest błoną półprzepuszczalną?

— Niezupełnie, kombinezon to całe urządzenie, które chroni ciało, reguluje temperaturę i jednocześnie pochłania zbędne substancje wydzielane przez skórę.

Wyobraziłem sobie, że ściany szuflady-łazienki działają jak magnes wyciągający brud niby opiłki żelaza. Niezłe to.

Wieczorem Zielony miał nas zapoznać ze swoimi przyjaciółmi. Do tego czasu nauczył nas posługiwać się aparatami do latania — czyli awiotkami.

Obsługa awiotki okazała się dziecinnie prosta. Zakładało się aparat na plecy i przesuwało dźwignię w górę, w dół, w lewo lub w prawo — w zależności od tego, w którą stronę chciało się lecieć. Zauważyłem, że im wyższa technika, tym mniej trzeba używać głowy.

Późnym popołudniem przyszli Tisza i Sziko. Śmieszne. Obaj byli rówieśnikami Zielonego, a wyglądali jak dziadek z wnuczkiem, ponieważ Tiszę już przeszczepiono. Miał lekko przygarbione plecy, pomarszczoną twarz i mocno różowiejące włosy. Włosy Wiridian zamiast siwieć — jak dzieje się to na Ziemi — różowieją.

Z Tiszą Zielony znał się od dzieciństwa. Szika natomiast poznał w

Szkole Przysposobienia do Badań Specjalnych. Sziko był trochę wyższy od Zielonego, miał nieco ostrzejsze rysy i szczególnie piękne oczy. Nie zwracam uwagi na takie drobiazgi, ale widziałem, że Baśce bardzo się podobały. Zielony i Sziko nosili na czołach biało-czerwone opaski jako zewnętrzne oznaki przynależności do szkoły, o której na Wiridii marzył każdy chłopiec. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że profesor Put jest również absolwentem tej szkoły.

Po wstępnych powitaniach i prezentacjach zaczęliśmy zastanawiać się, co robić w następnym dniu.

— Ja już odrobiłem swoje punkty i mam cały dzień wolny — powiedział Tisza.

— Szokszo i ja też — dodał Sziko.

Muszę wyjaśnić, że na Wiridii nie ma świąt ani wakacji. Każdy odpoczywa jeden dzień po wykonaniu pracy za sto pięćdziesiąt punktów. Trochę to skomplikowane, ale sprawiedliwe. Lenie i maruderzy odpoczywają o wiele krócej niż pracujący systematycznie. Pracę fizyczną wykonują oczywiście roboty, a każdy obywatel ma obowiązek uczyć się lub pracować twórczo.

— Zacznijmy od kraju za miastem — zaproponowała Baśka.

— Dobrze, pożyczę odpowiedni pojazd — zaofiarował się Sziko.

— Nie polecimy awiotkami? — zdziwiłem się.

— Wykluczone. To bardzo niebezpieczne — wyjaśnił Tisza.

— Pojutrze polecimy na Iskinię na trzy lub cztery dni. To będzie frajda — powiedział Zielony.

— Słyszeliście? W Centrum wystawiono dwa pierwsze egzemplarze robotów najwyższej generacji — zmienił temat Sziko. — Będą błękitne.

— Macie takie doskonałe roboty, że trudno je bardziej udoskonalać — zauważyła Baśka.

— Doskonalić je można — uśmiechnął się Sziko. — Tylko istnieje granica moralno-prawna, co do której najwięksi uczeni nie są zgodni.

— Czy takie granice mogą dotyczyć maszyn — zdziwiłem się.

— Oczywiście. To jest tak, jak na pograniczu roślin i zwierząt, np. wasza ziemska Euglena Zielona. Jeszcze roślina, a już zwierzę. To samo jest z robotami. Wystarczy im dodać kilka cech, chociażby miłość, nienawiść, chciwość, i mogą poczuć się równi nam — wyjaśnił Sziko.

— A na czym polega to ulepszenie? — zainteresowała się Baśka.

— One mają zaprogramowany instynkt samozachowawczy — wyjaśnił Zielony.

— To jest dobre dla ludzi i zwierząt, ale nie dla robotów, bo będą odczuwać strach. Jest to uczucie właściwe istotom żywym, a zwłaszcza rozumnym — powiedziała Baśka.

— O nie! Strach to uczucie pierwotne. Towarzyszy istotom na niższym stopniu rozwoju. My jesteśmy wolni od tego rodzaju odczuć — zaprotestował Tisza.

Spojrzałem na Zielonego. Nie podjął jednak tematu. Widocznie był zajęty innymi myślami. Włączyłem się więc do rozmowy.

— O strachu można mówić dopiero w sytuacji zagrożenia. Skąd możesz wiedzieć, czy drzemie w tobie to uczucie, czy też nie?

— Od tysiącleci nie znamy pojęcia zagrożenia, więc i strach został u nas wyeliminowany — bronił swego Tisza.

Trudno było nam znaleźć odpowiednie argumenty na poparcie naszych twierdzeń, ale czas pokazał, że mieliśmy rację.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ewa Barańska i Wiesław Kot
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

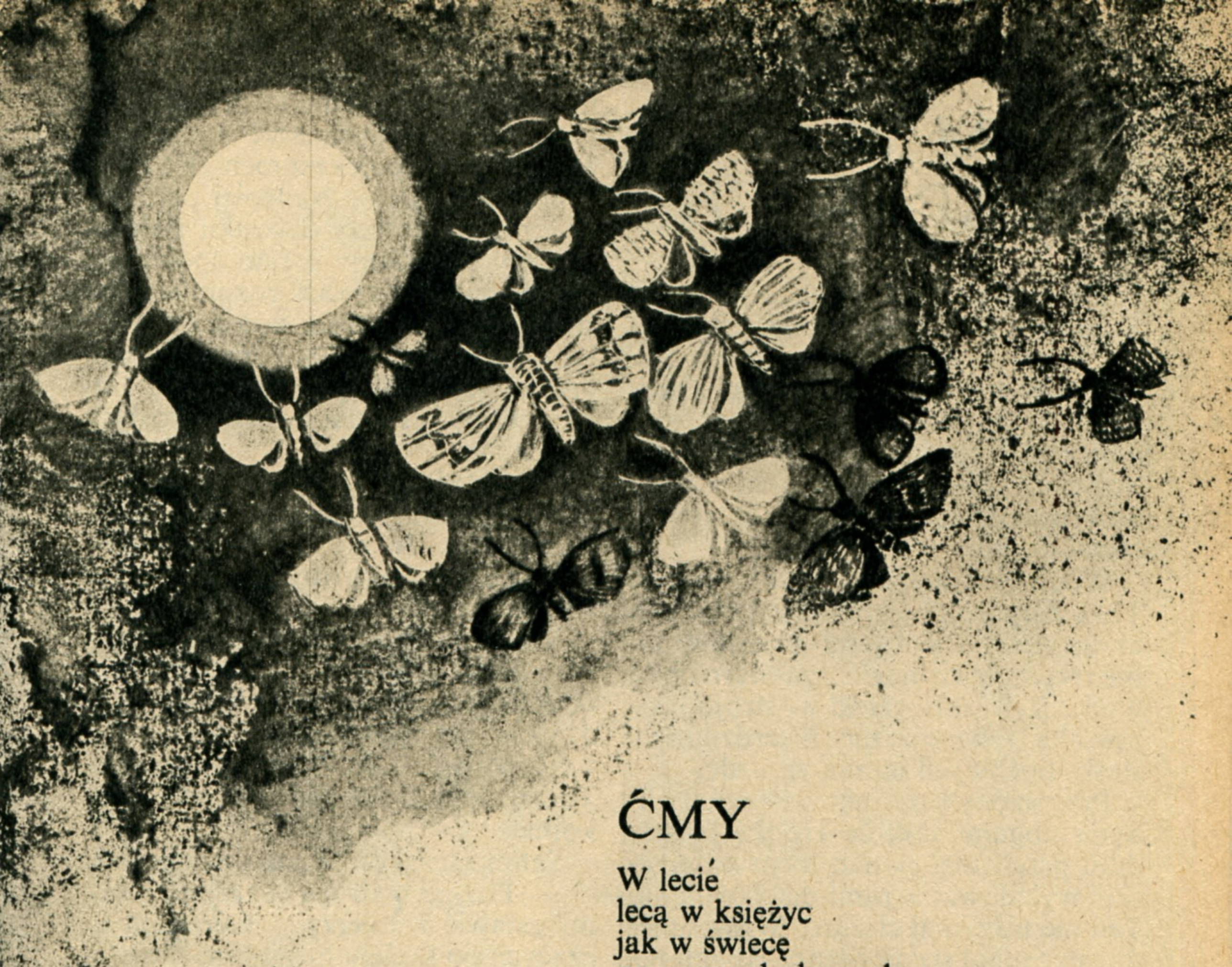

ĆMY

W lecie
lecą w księżyc
jak w świecę
po nocnych drogach
ćmy
zbuntowane motyle
strącone w ciemność
przez owadziego boga

MGŁA

Kiedy mgła
do ulic się przylepi
auta jadą
powoli
wyciągając białe laski
reflektorów
jak ślepi

Elżbieta Zechenter-Spławińska
Rys. Elżbieta Barcik

SALIM W TARAPATACH

Różowy poranek zwiastował dzień pogodny i spokojny. Hodża Nasreddin jechał na osiołku w kierunku głównego bazaru Buchary i dumał. Zatopiony w myślach nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co działo się wokół. Roztropny kłapouch znający doskonale swego pana, sam sobie wybierał drogę.

Wędrowcy zbliżali się właśnie do Toki-Zargaron — kopulastej budowli mieszczącej trzydzieści kramów jubilerskich, gdy nagle zza narożnika wyskoczył jakiś człek w stroju wojownika i wrzeszcząc niezrozumiałe słowa pochwycił iszaka za uzdę.

Przerażony kłapouch wierzgnął tylnymi nogami tak, że Hodża Nasreddin przefrunął ponad łbem zwierzęcia i wylądował w ramionach wojaka. Ten nie utrzymał ciężaru. Wraz z mędrcem osunął się na ziemię. Rozmowa między obydwoma odbyła się więc na siedząco:

— Czyżbyś to był ty, Salimie? — zdziwił się Nasreddin rozpoznając w mężczyźnie nie widzianego od dawna starszego łucznika wojsk bucharskich. — Co ci przyszło do głowy, przyjacielu, aby witać mnie tak gwałtownie? Wystraszyłeś mi osła. Spójrz, zeza dostał z przerażenia.

— To nieważne, afandi. Zupełnie nieważne — odpowiedział Salim rozcierając potłuczone miejsce.

— I ból ci sprawiłem niechcący — dorzucił ze współczuciem Hodża.

— Zez nieważny. I ból nieważny — jęknął wojak nie przestając masować stłuczonej miednicy. — Wszystko nieważne wobec pałek, jakie zawisły nad moim grzbietem. Szukam cię od godziny, afandi, bo sprawę mam. Kłopot wielki, na który jedynie ty potrafisz znaleźć skuteczne lekarstwo.

— Kłopot powiadasz? — mędrzec zastanowił się przez moment. Po czym zaproponował: — Najlepiej pójdźmy do czajchany. Przy dzbanku zielonej herbaty pogadamy o tym spokojnie. Nie będziemy przecież rozprawiać na środku ulicy, siedząc w kurzu, utytłani jak nieboskie stworzenia. Sam przyznasz, że nie jest to miejsce najodpowiedniejsze dla dwóch dorosłych mężczyzn.

Dźwignęli się z ziemi i pomaszerowali w stronę czajchany kulawego Alimdżana. Za nimi zerkając podejrzliwie na wojaka dreptał iszak Nasreddinowy.

Kiedy Alimdżan ustawił przed gośćmi dwa dzbanki napełnione wrzątkiem i dużą szczyptą kokczaju, Hodża szepnął sąsiadowi na ucho:

— Mów, co cię trapi, przyjacielu. Teraz mogę i słuchać, i myśleć spokojnie.

Salim zaczął opowiadać półgłosem:

— Dzisiaj o świcie naczelnik kazał mi ustawić żołnierzy w szeregach liczących po sześciu łuczników. Niestety, nie udało mi się. Na końcu pozostał bowiem jeden wojak. Samotny, dla którego zabrakło miejsca w ostatnim szeregu. Wielki sardar zdenerwował się i kazał mi ustawić żołnierzy nieco inaczej. W szeregach złożonych z dziesięciu wojaków. I znów okazało się, że jak poprzednio na samym końcu jeden sterczał samotnie. Wtedy naczelnik popatrzył na mnie wzrokiem nie wróżącym niczego dobrego i polecił mi ustawić oddział w szeregach liczących po piętnastu łuczników. Zły los prześladował mnie nadal. Kiedy już rozstawiłem oddział zgodnie z życzeniem dostojnika, na końcu za szeregami sterczał samotnie znowu jeden wojak. Na ten widok naczelnikowi krew uderzyła do głowy. Najwidoczniej był przekonany, że drwię sobie z niego. Zabulgotał coś nad końskim uchem, a potem wrzasnął, żebym dalej radził

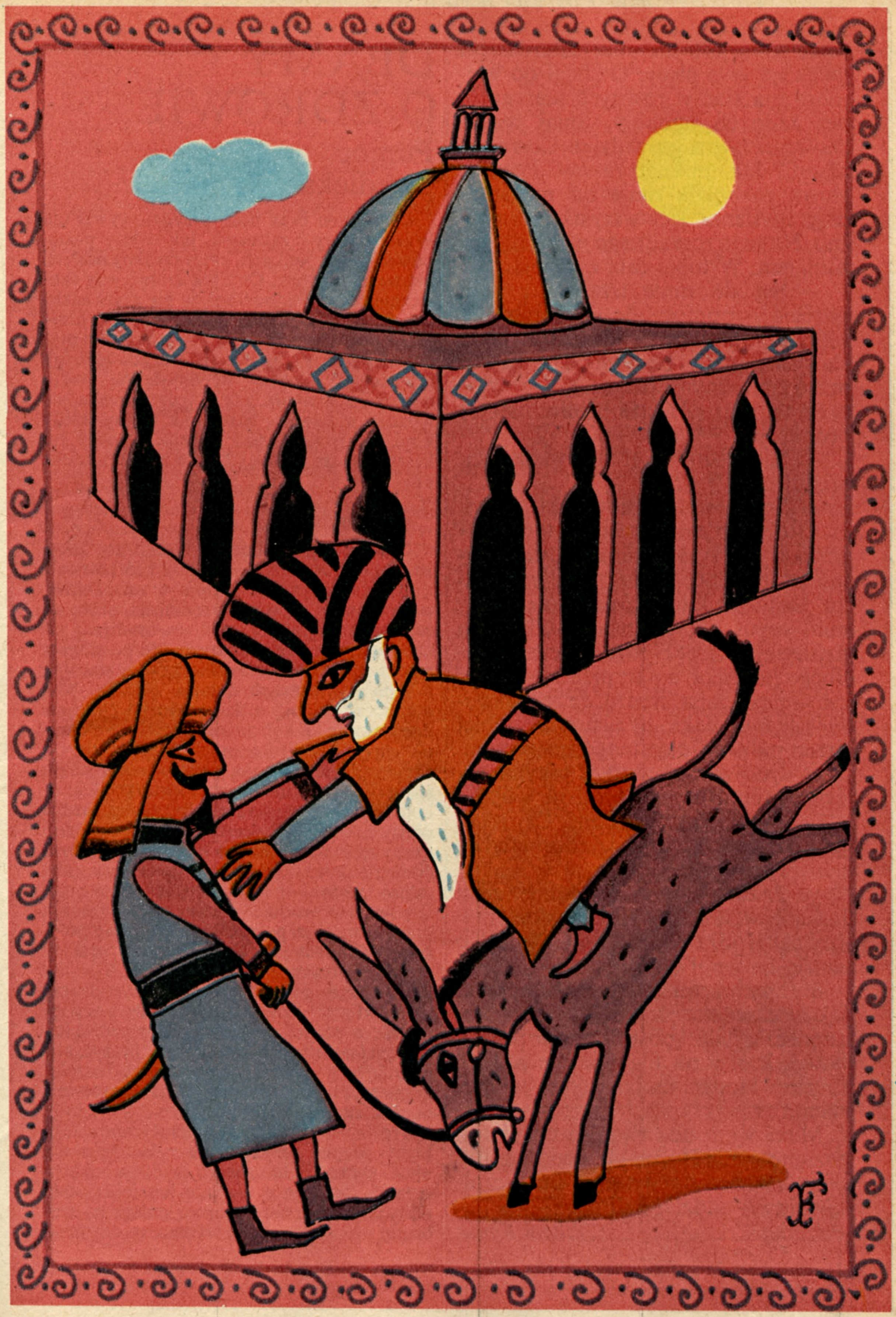

Rys. Jerzy Eliszk

sobie sam, jeśli nie chcę czterdziestu pałek na gołe plecy. Oddział do wieczora ma stać w równych szeregach, bez żadnych ogonów. Spiął wierzchowca i tylem go widział. Co robić, afandi? Jak uniknąć razów? Poradź, głowa rozbolała mnie od nieustannego myślenia, lecz wszystko na próżno. Niczego rozsądnego wymyślić nie zdołałem. W tobie cała nadzieja.

— Nie do mnie trzeba się było zwrócić o pomoc, ale do tabiba — lekarza. Specjalista od uzdrawiania chorych wybawi cię z kłopotu. I ocali przed obiecanymi pałkami.

Po tej radzie Hodża uśmiechnął się promiennie.

— Nie rozumiem? Mów jaśniej, afandi.

— To proste. Jednooki Muchammad lubi uzdrawiać nawet tych najzdrowszych. Pod warunkiem, że otrzyma za leki choćby marnego miedziaka. Daj więc łucznikowi monetę, aby miał czym opłacić trud tabiba. Na dzisiejszy wieczór pozbędziesz się jednego łucznika, a o to przecież chodzi od samego rana. Sądzę, że warto poświęcić miedziaka, by uchronić grzbiet przed pałkami okrutnego naczelnika.

— Oczywiście, zrobię, jak mi radzisz, afandi — uradował się wojak.

— Jeszcze jedno, Salimie. Czy masz w oddziale ponad pięćdziesięciu ludzi?

— Nie, poniżej.

— A zatem wiem dokładnie, z ilu łuczników składa się twój oddział — szepnął Hodża Nasreddin na wpół do siebie, na wpół do Salima.

Starszy łucznik spojrzał na mędrca, jak na czarnoksiężnika. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób afandi poznał liczbę, której on ujawnić nie zdążył. Czyżby Hodża umiał czytać w myślach?

Może wam uda się odtworzyć tok rozumowania Hodży Nasreddina, aby odpowiedzieć na pytanie: ilu łuczników liczył oddział Salima?

Zdzisław Nowak

Rozwiązanie na str. 30

DBAMY O ZDROWIE

Pomoc przedlekarska

Co pewien czas będę przygotowywał dla Was przepisy i zalecenia, jak należy postępować w przypadkach, kiedy musimy udzielić pierwszej pomocy. Co i jak zrobić, aby skutecznie pomóc, a pomagając nie zaszkodzić. Często pomocy trzeba udzielać, zanim przyjedzie pogotowie ratunkowe czy fachowi pracownicy służby zdrowia. Jak wszystkiego, tak i udzielania pomocy trzeba się po prostu nauczyć, aby wtedy, gdy zajdzie potrzeba, nie wpadać w panikę. Nigdy nie wiemy, kiedy sami będziemy musieli udzielać pomocy ani kiedy nam tej pomocy będzie musiał udzielić kto inny.

Omdlenie

Omdlenie jest podobne do utraty przytomności i czasem przebiega z krótkotrwałą utratą świadomości. Jednak w odróżnieniu od całkowitej utraty przytomności, praca serca i oddychanie jest podczas omdlenia zachowane. Omdlenia zdarzają się po długim staniu, np. w kolejce, zwłaszcza w upalne dni, lub po gwałtownym wstaniu z łóżka. Nierzadko występują u dziewczynek w okresie dojrzewania i u kobiet w początkowym okresie ciąży. Omdlenia mogą zdarzać się po silnym zdenerwowaniu, przestraszeniu lub po spożyciu czy zastosowaniu niektórych leków. U ludzi, którzy długo stoją, lub zjedzą bardzo obfity posiłek, krew przemieszcza się do dolnych części ciała i chociaż serce bije, to jednak ciśnienie krwi nie jest wystarczające, aby odpowiednia ilość krwi dopłynęła do mózgu. Omdlenie powoduje najczęściej upadek lub przemożną chęć położenia się. Krótkie położenie się wystarcza, aby krew dopłynęła do mózgu, i przykre objawy ustępują.

Udzielając pomocy w takich przypadkach, ludzi, którzy zemdleli, nie należy podtrzymywać w pozycji pionowej, ale posadzić lub najlepiej położyć. Dobrze jest tak ułożyć, aby nogi były wyżej niż głowa. Należy rozpiąć kołnierzyk od koszuli czy bluzki i zapewnić dopływ świeżego powietrza.

Trzeba sprawdzić, czy serce omdlonego bije, najlepiej przykładając palce na szyję, obok chrząstki tarczowej, czyli tzw. jabłka Adama. Jeśli serce nie bije lub jeśli ustało oddychanie, pierwsza pomoc polega na zrobieniu masażu serca lub sztucznego oddycha-

nia (o tym napiszę w jednym z następnych odcinków).

Po odzyskaniu przez omdlałego świadomości można mu podać do picia płyny — herbatę lub kawę.

W przypadkach nawracających omdleń potrzebna będzie konsultacja z lekarzem.

Uwaga! Jeśli udzielamy pomocy ludziom nieprzytomnym, nie wolno wlewać im do ust żadnych płynów, bo przełykać skutecznie może tylko człowiek mający pełną świadomość. Wlewając płyny do ust nieprzytomnemu możemy spowodować, że płyn zamiast do żołądka dostanie się do płuc i będzie przyczyną zachłystowego zapalenia płuc.

dr Leszek Marek Krześniak

DLA WAS I DLA MAMY

KAPUSTA I JEJ PRZODKOWIE

Dzika kapusta znad Morza Śródziemnego dała początek całej rodzinie warzyw objętych nazwą: „warzywa kapustne". Do nich należą — kapusta liściowa i głowiasta biała, kapusta czerwona i włoska, kapusta brukselka, kalarepa, kalafior, brokuł, jarmuż, kapusta pekińska.

W okresie, gdy ludzie szukali pożywienia wśród dzikich roślin, natrafili na roślinę o liściach jadalnych, ale twardych i szorstkich. To był praprzodek naszej obecnie hodowanej kapusty. Wiele lat trwała hodowla kapusty. Obecnie jest to roślina o delikatnych, chrupkich liściach, zwiniętych lub niezwiniętych w główki różnej wielkości. Kapusta ma różne kształty i barwy i bardzo się różni od swojego przodka — dzikiej kapusty.

Najpierw już 1000 lat przed naszą erą hodowali kapustę Celtowie lub inne plemiona zamieszkujące wcześniej tereny nad Morzem Śródziemnym (Liguryjczycy, Iberowie). Starożytni Grecy znali kapustę na 400 lat przed naszą erą. Rzymianie cenili kapustę i jej wartość zdrowotną, spożywali jej dużo pod różnymi postaciami. Umieli kwasić kapustę. W I wieku naszej ery znano kapustę w Italii, w IX wieku mnisi chrześcijańscy przenieśli ją do Francji południowej, później do Anglii i Niemiec, a do Polski dotarła kapusta w XI wieku, znacznie wcześniej niż ziemniak — druga bardzo ważna dla ludzkości roślina.

Kapusta, znana w dawnych czasach, nie zwijała liści w główki. Takie formy tej rośliny zresztą pozostały do dzisiaj, np. kapusta pekińska. Zauważono, że w chłodnym klimacie rośliny zwijają liście w luźne główki, a im jest niższa temperatura otoczenia, tym główki są bardziej ścisłe. W ten sposób z kapusty liściowej otrzymano odmiany kapusty głowiastej.

Liście kapusty tworzą pąk wyrastający na szczycie skróconej łodygi, którą w języku potocznym nazywamy głąbem. Widać to wyraźnie na przekroju główki kapusty. Najstarsze liście kapusty znajdują się na zewnątrz, a te najmłodsze, najbardziej kruche, niekiedy jakby „skręcone" — wewnątrz. Różnią się też kolorem — są kremowe lub białe.

Kapusta jest najpopularniejszym warzywem na świecie. Jest lubiana i ceniona jako bogate źródło wielu składników odżywczych. Porcja surówki z kapusty (około 200 g) zaspokaja dobowe zapotrzebowanie człowieka na witaminę C. Dostarcza również witamin z grupy B oraz wielu składników mineralnych, np. magnezu, jodu, kobaltu, żelaza.

Obecność witaminy C w dostępnej przez cały rok kapuście ma ogromne znaczenie w naszym klimacie, szczególnie na wiosnę, gdy w pokarmach brakuje tego składnika. Należy więc sporządzać z kapusty surówki z dodatkiem marchwi, jabłek, ogórków kwaszonych itp. Można też brać liść kapusty do kanapki, zamiast sałaty, która jest znacznie uboższa w witaminę C. Kapusta kwaszona zachowuje ok. 80% witaminy C. Jej sok jest także źródłem tej witaminy. Dlatego należy go używać do zakwaszania różnych potraw zamiast innych kwasów, np. kwasku cytrynowego, czy octu lub drogiego soku z cytryny. Dobrze też jest wiedzieć o tym, że głąb z kapusty, który zawiera najwięcej witaminy C, nie powinien być wyrzucany do śmieci.

Krystyna Tarnowska

Odpowiedź na Foto-zagadkę:
Owady zwane liśćcami.

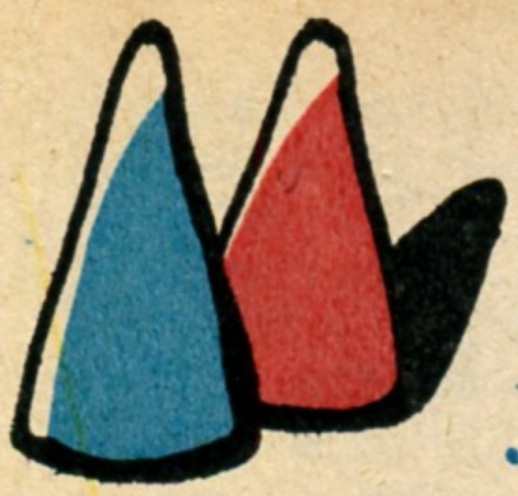

Gry planszowe
i łamigłówki
„Płomyczka"

JAPOŃSKIE HASAMI SZOGI

Hasami szogi jest grą planszową znaną od wielu setek lat wśród mieszkańców Japonii, a szczególnie wśród tamtejszej młodzieży i kobiet. O niezwykłej popularności tej tradycyjnej w Kraju Kwitnącej Wiśni gry świadczą liczne zawody i turnieje rozgrywane między drużynami poszczególnych ulic i dzielnic miast, turnieje szkolne i międzyszkolne, zwłaszcza podczas ferii zimowych i letnich.

Naturalnie, niezwykłe powodzenie hasami szogi nie jest wcale przypadkowe. Warto tu bowiem zauważyć, iż jest ona bliską, acz skromną krewniaczką gry *go* i jej rozgrywanie jest niejako treningiem przed przystąpieniem do trudniejszych i ogromnie popularnych w całej Azji (a od pewnego czasu także w Europie i Stanach Zjednoczonych) mistrzostw w *go*.

Istnieje kilka odmian hasami szogi. Spośród nich chciałbym wam zaprezentować dwie, właśnie te najbardziej znane.

W pierwszej każdy zawodnik ma do swojej dyspozycji po osiemnaście pionków, rozmieszczonych początkowo w dwóch ostatnich rzędach pól na przeciwległych skrajach planszy. Celem, do jakiego dąży każdy z graczy, jest ustawienie pięciu swoich pionków w jednym rzędzie pionowym lub po przekątnej (jednakże poza własnymi polami startowymi, na których stawianie piątki jest zabronione).

A teraz kilka reguł obowiązujących w czasie zabawy.

● Zawodnicy wykonują ruchy na przemian, przenosząc pionki z jednego pola na drugie sąsiednie, zawsze tylko w linii prostej (w górę lub w dół, w prawo albo w lewo). Wszelkie ruchy ukośne są niedozwolone.

● Nie można stawiać pionka na polu zajętym już przez inny pionek (bez względu na jego kolor).

● Każdy pionek biorący udział w grze ma prawo wykonywania krótkich skoków ponad polami zajętymi przez pionki własne lub pionki przeciwnika i stawania na pierwszym wolnym polu tuż za nimi. Oczywiście, jeżeli sytuacja pozwoli (i będzie tego wymagać), wówczas w jednym posunięciu można wykonać nawet kilka takich skoków.

W przeciwieństwie do wielu innych gier planszowych skoki w hasami szogi nie dają satysfakcji w postaci zdobycia pionka partnera i wyeliminowania go z planszy.

● Pionki przeciwnika mogą być wyłączone z gry jedynie wówczas, gdy uchwyci się je w „kleszcze" (poziome lub pionowe) przez dwa pionki, o ile tylko znajdą się między pionkami atakującymi.

Natomiast pionek znajdujący się na polu w którymś z rogów planszy może być wyeliminowany z gry przez dwa pionki przeciwnika, które znajdą się na dwóch przyległych polach.

● Każdy z graczy może przesuwać swoje pionki między dwoma pionkami przeciwnika bez narażania swoich sił na uszczuplenie, gdyż w takich przypadkach prawo „kleszczy" nie obowiązuje (a zatem pionek taki nie może być usunięty z planszy).

● W tej odmianie hasami szogi wygrywa zawodnik, który pierwszy osiągnie cel gry i ustawi pięć pionków obok siebie w rzędzie pionowym albo na jednej z przekątnych lub ukośnych.

W drugiej odmianie hasami szogi (także bardzo popularnej, zaliczanej ze względu na swój charakter do rodziny gier wojennych) gracze przystępują do gry mając tylko po dziewięć pionków ustawionych w szeregach na polach dwóch skrajnych, przeciwległych rzędów planszy.

Celem gry — w przeciwieństwie do poprzedniej — jest wyeliminowanie z placu boju ośmiu pionków przeciwnika.

● Przesuwanie pionków oraz sposoby brania pionków przeciwnika do niewoli są takie same, jak w poprzedniej odmianie hasami szogi.

Zdzisław Nowak

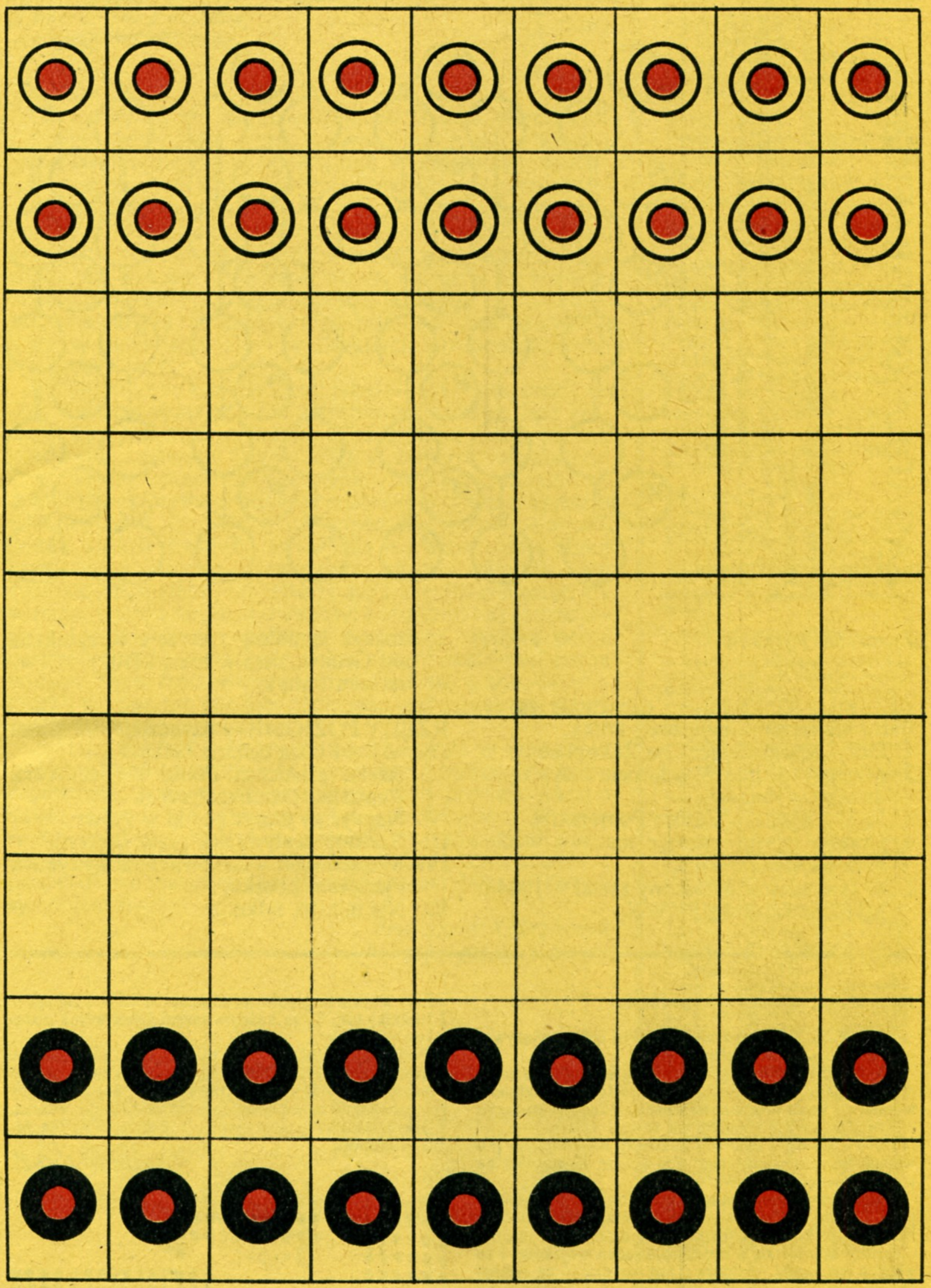

ZAGADKA GEOGRAFICZNA

Do diagramu wpiszcie 12 wyrazów o podanych niżej znaczeniach.

Litery znajdujące się w kółeczkach oznaczonych liczbami od 1 do 42, czytane kolejno, utworzą rozwiązanie — fragment wiersza Wincentego Pola.

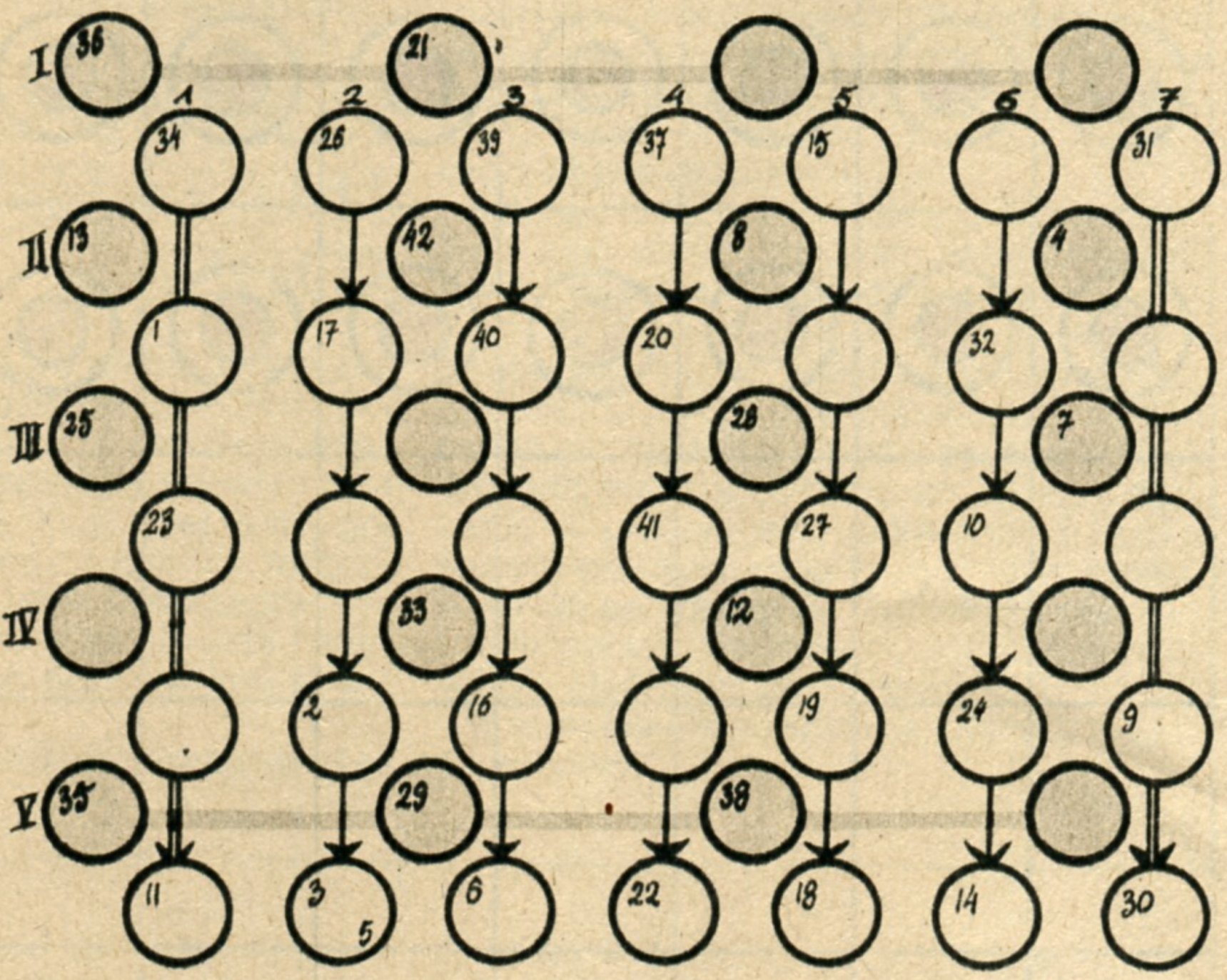

Znaczenie wyrazów:

RZĘDY PIONOWE — oznaczone są cyframi arabskimi i mają białe kółka.

1. Góry „spoglądające" na Zakopane,
2. Miejscowość pod Wrocławiem znana z produkcji autobusów,
3. Polska wyspa w Zatoce Pomorskiej,
4. Drzewa iglaste, rosnące masowo w Górach Świętokrzyskich,
5. W tym mieście ogłoszony został w 1944 r. Manifest Lipcowy PKWN,
6. Stoczyli ją polscy rycerze z Krzyżakami pod Grunwaldem w roku 1410,
7. Jest nim Bałtyk.

RZĘDY POZIOME — oznaczone są cyframi rzymskimi i mają ciemne kółka.

I. Rzeka graniczna Polski i Niemieckiej Republiki Demokratycznej,
II. Najwyższy szczyt górski w Polsce,
III. Rzeka przepływająca przez Cieszyn,
IV. Miejscowość wczasowa nad Bałtykiem i jeziorem Łebsko,
V. Nie miasto, tylko...

Rozwiązanie zadania mądrego Hodży:

Wydaje się, że i to zadanie najłatwiej jest rozwiązywać metodą kilku prób. A więc po kolei.

Ilu mogło być żołnierzy w oddziale Salima? Nie mniej niż szesnastu (bo ustawił szereg złożony z piętnastu wojaków i jeden pozostał na końcu). Niestety, ta liczba nie zgadza się z podziałem na szeregi sześcioosobowe (16:6 = 2 szeregi i czterech żołnierzy na końcu, a powinien być tam tylko jeden), nie zgadza się również na szeregi dziesięcioosobowe.

Spróbujemy zatem podwoić liczbę najdłuższych szeregów. Gdyby Salim ustawił dwa szeregi piętnastoosobowe, a na końcu pozostał jeden łucznik, to oddział musiałby składać się z trzydziestu jeden wojaków. I to właśnie jest liczba właściwa. Daje się dzielić na szeregi sześcioosobowe (31:6 = 5 szeregów + 1 łucznik), na szeregi dziesięcioosobowe (31:10 = 3 szeregi + 1 łucznik), a także na piętnastoosobowe (31:15 = 2 szeregi + 1 łucznik) tak, by za każdym razem jeden wojak pozostawał na końcu.

Ponieważ liczba 31 jest niepodzielna (daje się co prawda dzielić przez 1 lub 31, ale nie o takie szeregi chodziło w opowieści), Hodża poradził Salimowi, aby jednego żołnierza na czas ćwiczeń odesłał do lekarza. Z trzydziestoma pozostałymi nie będzie mieć już żadnego kłopotu.

Zdzisław Nowak

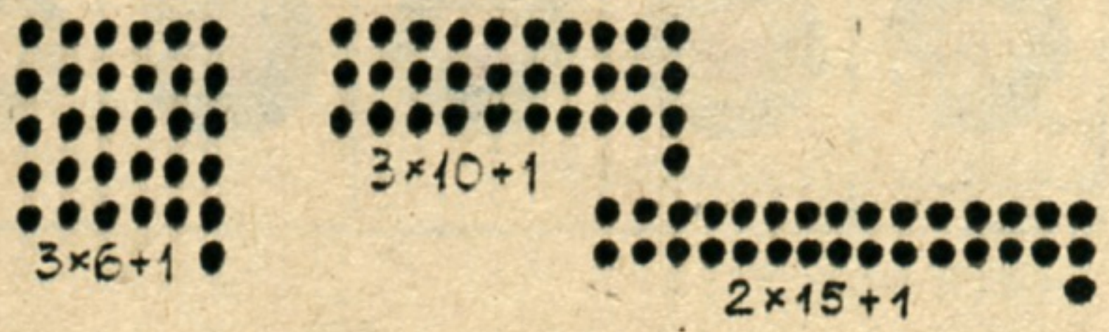

NASZ ZWIERZYNIEC

LIN
(Tinca)

Lin należy do ryb karpiowatych, jak karasie, wśród których spotykamy złotą rybkę. Krewni złotej rybki — karasie chińskie albo złociste — występują w naturalnym środowisku na obszarze Chin, Japonii i Korei. Przodkowie naszej złotej rybki, hodowanej w akwariach, zostali sprowadzeni do Europy w 17 wieku przez Portugalczyków. W Chinach rybki akwaryjne hodowano już 2,5 tysiąca lat temu, a złota rybka znana jest tam od 1,5 tysiąca lat. Jej odmiany to: kometa, welon, teleskop, ryba-jajo (jajoryb), jaskółczy ogon, tygrysek, lwia główka i inne. Złote rybki hoduje dziś cały świat nie tylko w akwariach, ale i w basenach przyogródkowych i w sadzawkach.

Lin — skromny krewny złotej rybki — nie ma tej urody co ona, ale przewyższa ją wielokrotnie masą ciała. Jest szarooliwkowy, z dwoma wąsikami, o drobnej łusce, mocno osadzonej, i pokrytej śluzem. Żyje w zamkniętych zbiornikach lub zatoczkach leniwie płynących rzek, głębokich na dwa metry. Upodobał sobie przydenny tryb życia, wybiera dno zamulone, w gąszczu roślinności podwodnej, a szczególnie osoki i rdestnicy, które dają mu schronienie przed drapieżnymi zapędami szczupaków, okoni i węgorzy. Sam żywi się obumarłymi szczątkami zwierzęcymi znalezionymi w mule, a także larwami owadów, ślimakami i skąposzczetami. Lin doskonale współżyje z karpiem: wybiera partie parterowe stawu i oddaje swemu współlokatorowi piętra wyższe. Znosi środowisko mało natlenione, o dużych różnicach temperatur. Nie lubi natomiast bystrego prądu wody i zakwaszonego jej odczynu.

Jeszcze bardziej odpornymi na brak tlenu w wodzie są karasie — rybki o niewielkich rozmiarach, chudziutkie, jakby zagłodzone. Jest w tym określeniu dużo prawdy. Karasie należą do ryb głodujących. W ich środowisku, ubogim w tlen, nie ma innych ryb, a nawet owadów. Muszą zadowalać się byle czym. „Laski, piaski i karaski ma szlachcic podlaski" — mawiano ongiś, gdy karaski były w Polsce symbolem biedy.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Elżbieta Barcik

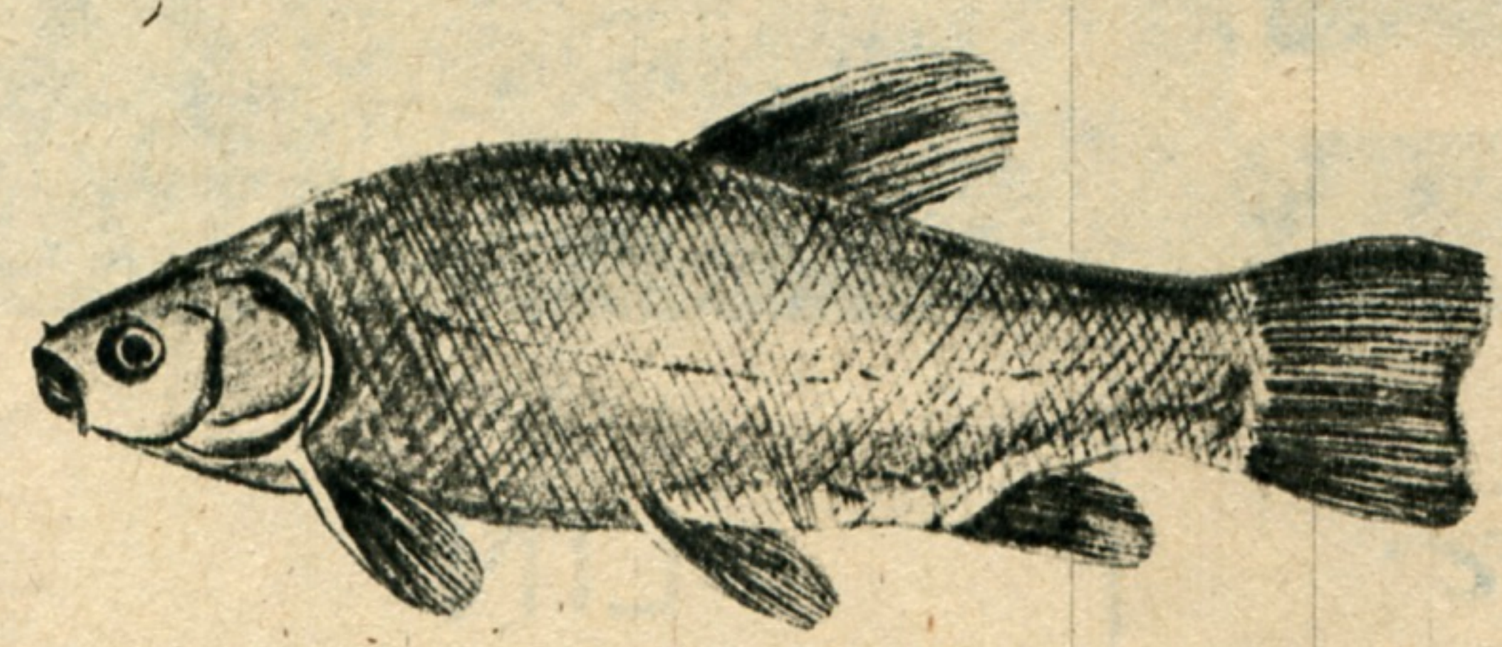

PŁOMYCZEK
DWUTYGODNIK DLA DZIECI
ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY
kwartalnie — 600 zł,
półrocznie — 1200 zł,
rocznie — 2400 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Alicja Olszewska (zastępca redaktora naczelnego), Jadwiga Przeczek, Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (kierownik działu graficznego), Elżbieta Wrzecionkowska.

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Filsak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zbigniew Pawlowski, Ewa Sadowska, Maria Wielicz ko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PBK XIII Oddział w Warszawie Nr 370044-1195-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny:
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8.
Papier rotogr. 70 g, rola 75 cm, kl. III.

Zam. 8484/89 O-10
Nakład 250 300 egz.
ISSN 0137-8511

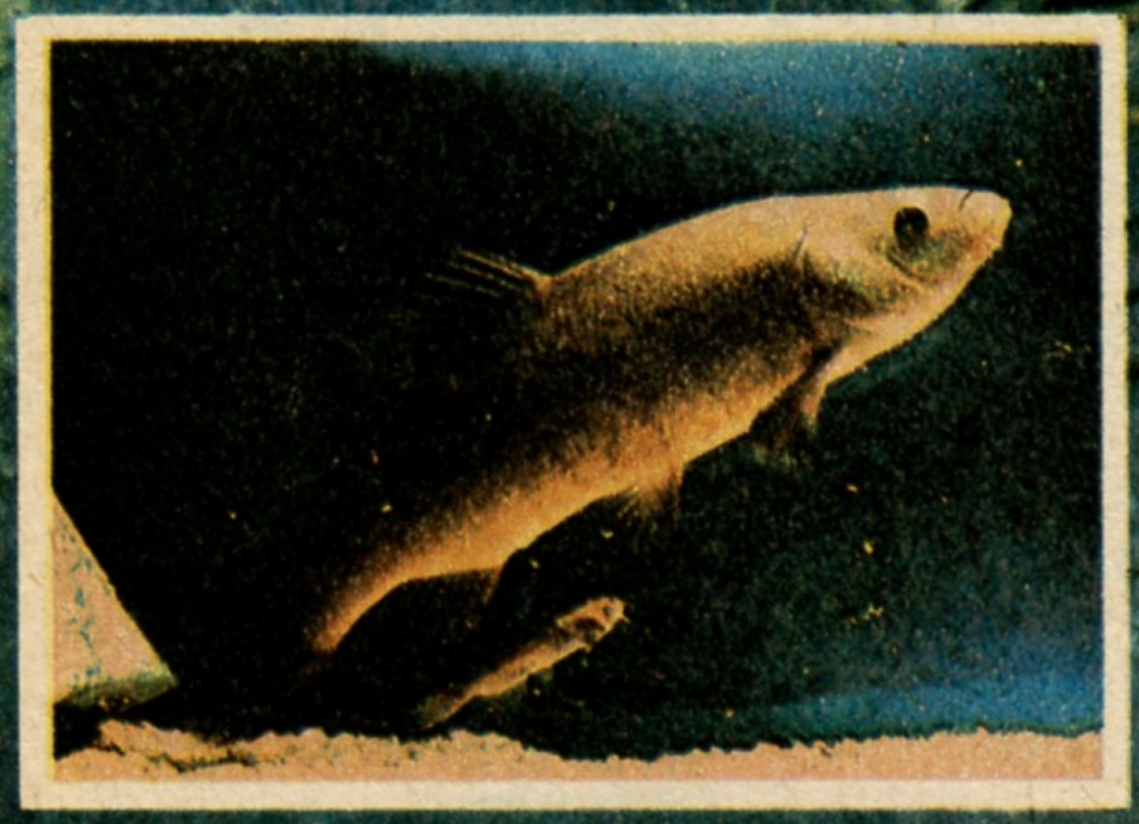

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

LIN

Fot. Stefan Rutkowski *Rys. Elżbieta Barcik*

CENA 130 ZŁ